

ZLP
POZNAŃ

95 lat

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXI Nr 7(239) Żelów, lipiec 2016

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Zygmunta Dekierta, Olgerda Dziechciarza, Agnieszki Kostuch, Pawła Marciszewskiego

Andrzej Dębkowski – „Urzyg”...

Leszek Żuliński – *Olkuskie Macondo*

Józef Baran – *Spadając, patrząc w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poeta wraca do korzeni* oraz **Paweł Kuziora** – *poeta zadziorny*

Stefan Jurkowski – *Będę dywersantem*

Andrzej Bartyński – *Piwo jasne*

Joanna Friedrich – *Amory, dzieciary i land art*

Marek Jastrząb – *Po-ranne noce*

Kazimierz Ivosse – *Uroki, gusta, fałszywe cuda*

Sławomir Majewski – *Wpływ księżycy*

Emil Biela – *Tragedia Zdzisława Beksińskiego, Wołyński nekrolog* oraz *Przerazająca książka*

Mirosław Osowski – *Zawał*

Szymon Gębuś – *Iredyński redivivus*

Michał Janiszewski – *Nasz wilk*

Michał Zaćmiński – *Zdaniem Polaka*

Władysław Panasiuk – „Kolorowe jarmarki”

[Ryszard Danecki] – *Jubileusz Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu*
Wydarzenia

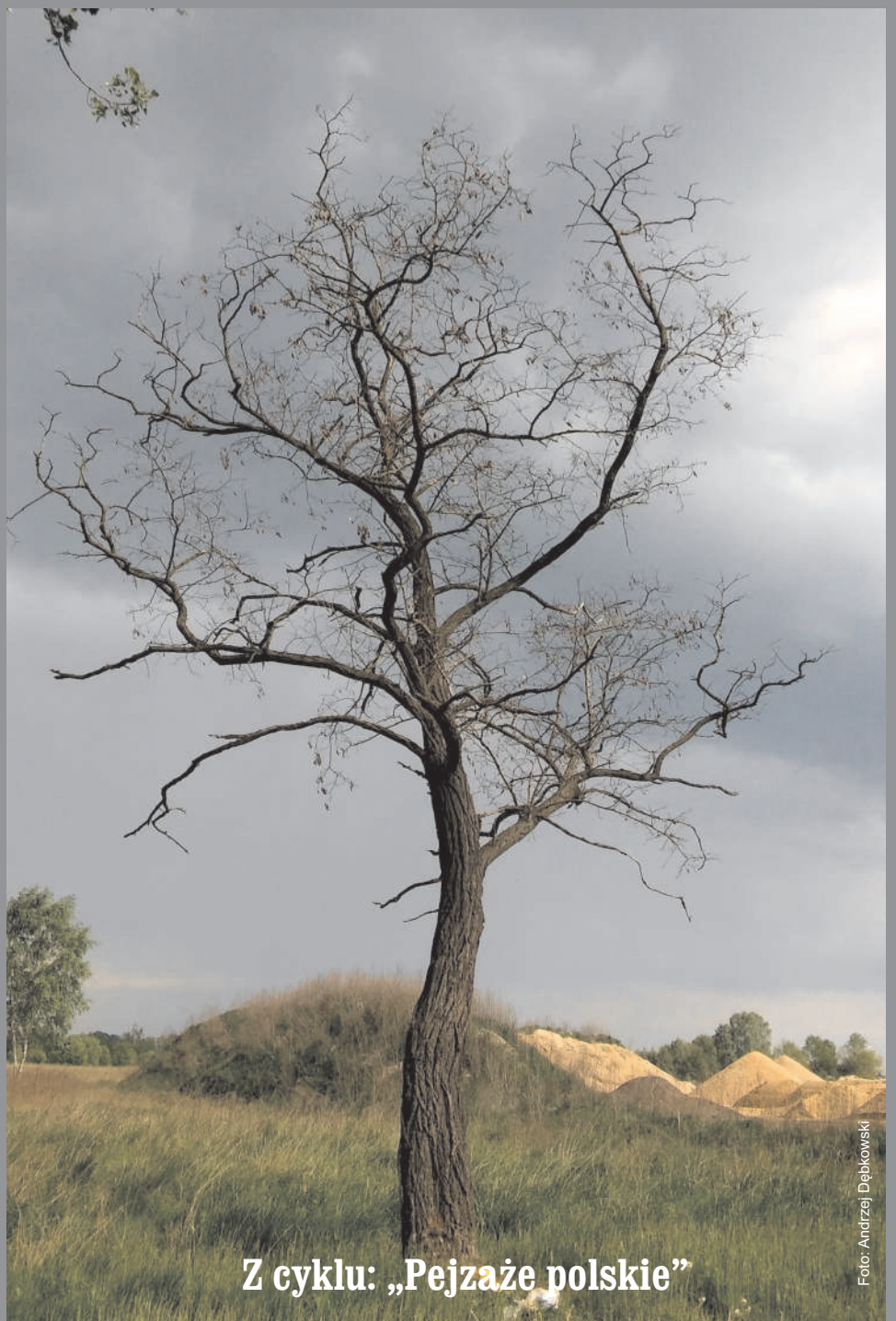
Informacje

Imprezy, Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy, Kronika

Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Konkursy

IV Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Magia ogrodów”

Gminna Biblioteka Publiczna w Rabie Wyżnej ogłasza konkursu na wiersz tematycznie związany z ogrodem – dozwolona szeroka interpretacja tematu.

Konkurs jest otwarty – dostępny dla wszystkich pełnoletnich twórców: zrzeszonych i niezrzeszonych w stowarzyszeniach twórczych.

Utwory muszą być oryginalne, napisane przez uczestników konkursu, nigdzie wcześniej niepublikowane (w wydawnictwach zwartych, prasie i Internecie) i nienagradzane wcześniej w innych konkursach.

Prace podpisane godłem (słownym, a nie znakiem graficznym) należy przysyłać w trzech egzemplarzach, w postaci wydruku komputerowego lub maszynopisu, format A-4. Dodatkowo mile widziany nośnik elektroniczny. Do pracy powinna być załączona zamknięta koperta, opatrzona również tym samym godłem, zawierająca dane osobowe: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu kontaktowego i adres mailowy.

Nadsyłane prace nie mogą przekraczać 2 wierszy w zestawie. Można przysłać tylko jeden zestaw. Prace należy nadsyłać lub składać osobiście w nieprzekraczalnym terminie do **31 sierpnia 2016 roku** (liczy się data wpływu przesyłki) na adres: Gminna Biblioteka Publiczna w Rabie Wyżnej 34-721 Raba Wyżna 65, z dopiskiem na kopercie: Konkurs Poetycki „Magia ogrodów”.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi podczas gali podsumowującej konkurs na najpiękniejszy ogród w gminie Raba Wyżna 1 października 2016 roku.

Organizator przewiduje następujące nagrody: I miejsce – 300 zł; II miejsce – 200 zł; III miejsce – 100 zł, ufundowane przez Bank Spółdzielczy w Rabie Wyżnej oraz trzy wyróżnienia – nagrody rzeczowe zapewnia biblioteka.

Organizator zastrzega sobie prawo do innego podziału nagród. Prace będzie oceniać profesjonalne Jury. Nagrodę należy odebrać osobiście. Nagród nie wysyłamy.

Ogólnopolski Konkurs za najlepszy debiut roku im. Kazimierzy Iłakowiczówny

Poznański Oddział Związku Literatów Polskich ogłasza Konkurs o Nagrodę im. Kazimierzy Iłakowiczówny za Najlepszy Debiut Poetycki Roku 2016. Konkurs od ponad 30 lat promuje miasto Poznań w kraju i poza jego granicami. Inspiruje ludzi młodych do rozwijania artystycznej pasji, zdolności i możliwości poetyckiej wypowiedzi. Popularyzuje twórczość Patronki Nagrody – Kazimierzy Iłakowiczówny. Była ona jedną z najważniejszych poetek polskich. Z Poznaniem związała swoje życie, a wiele lat z poznańskim oddziałem ZLP.

Serdecznie zapraszamy wydawnictwa, stowarzyszenia twórcze, osoby reprezentujące instytucje kulturalne i media o charakterze literackim do nadsyłania zauważonych, interesujących debiutów

poetyckich – książek, wydanych w 2016 roku.

Regulamin konkursu:

- tomy poetyckie mogą zgłaszać wydawnictwa, stowarzyszenia twórcze, osoby, reprezentujące instytucje kultury i media i charakterze literackim,
- książki autorów, pisane w języku polskim, wydane w 2016 roku, należy wysłać na adres organizatora konkursu w 3 egzemplarzach, z podaniem adresu, e-maila, nr telefonu autora.
- termin nadsyłania tomów poetyckich – 30.09.2016 (decyduje data stempla pocztowego),
- nadesłanie książki jest równoznaczne z akceptacją regulaminu i stanowi deklarację, że autor nigdy wcześniej nie wydał żadnej książki nośzącej cechy poetyckiego debiutu (z numerem ISBN),
- nadesłane książki oceni Komisja Konkursowa, powołana przez Organizatora,
- oficjalne ogłoszenie nazwiska Laureata i wręczenie Nagrody nastąpi w listopadzie 2016., w Mieszkanu-Pracowni Kazimierzy Iłakowiczówny – Oddziale Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, ul. Gajowa 4 m 8,
- laureat zostanie powiadomiony o dokładnym terminie wręczenia Nagrody,
- wiersze z nagrodzonego tomu poetyckiego zostaną zaprezentowane na witrynie poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich - www.zlp.poznan.pl
- organizator nie zwraca książek, nadesłanych na konkurs,
- adres organizatora konkursu: Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, 60-222 Poznań, ul. Dmowskiego 37.

Najciekawsza książka poetycka roku 2016 39. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego

Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu zaprasza autorów, wydawnictwa, stowarzyszenia do nadsyłania książek poetyckich, godnych tytułu i nagrody – Najciekawsza Książka Poetycka Roku 2016 – 39. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu.

Laureata poznamy podczas uroczystej inauguracji 39. MLP w Sali Lubrańskiego UAM w Poznaniu (ul. Wieniawskiego 1), 8 listopada 2016 roku.

Tomy poezji, wydane w języku polskim w roku 2016, należy nadsyłać w 3 egzemplarzach, do 30 września br. Wybory wierszy nie będą brane pod uwagę.

Wewnątrz dużej koperty z 3 egzemplarzami książki prosimy zamieścić małą kopertę zawierającą adres domowy, e-mail lub numer telefonu. Adres Organizatora: Związek Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, ul. Dmowskiego 37, 60-222 Poznań.



Złota Róża dla Mikołaja Wyrzykowskiego

Już po raz trzeci Kapituła Nagrody Literackiej im. Jarosława Zielińskiego wyróżniła poetę poniżej 41. roku życia, który w ubiegłym roku wydał nowy zbiór wierszy. Tym razem nagrodę zwaną Złotą Różą otrzymał Mikołaj Wyrzykowski za tom „Wspomnienia chwili obecnej”.

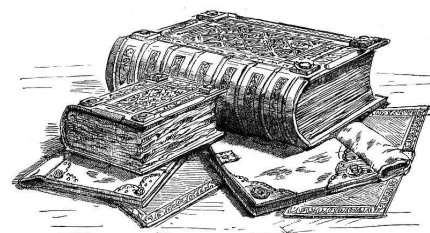
Kapituła obradowała 20 czerwca br. w składzie: Aleksander Nawrocki (przewodniczący), Stanisław Grabowski (sekretarz), członkowie: Lam Quang My, Andrzej Walter i Mikołaj J. Wachowicz.

Spśród kilkudziesięciu tomików wierszy wydanych w ubiegłym roku, Kapituła nie wie, czy dotarła do wszystkich edycji, do finału zakwalifikowało się ostatecznie ośmiu twórców: Oliwia Betcher („Poza”, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin), Klaudia N. Jaisle („Krople. Pomiędzy”, wyd. Ibis), Bartosz Konstrat („Własny holokaust”, wyd. Teatr Mały, Tychy), Agata Linek („Szept pumy”, Stalowa Wola, tłum. na jęz. ang. Aleksander Linek), Anna Maria Musz („Inkantacje”, wyd. polsko-bułgarskie, wybór i przekł. z jęz. polskiego Łyczczar Seliaszki, wyd. Simolini’94), Kacper Płusa („Wiersze na żółtym papierze”, MBP im C.K. Norwida, Świdnica), Iwona Suwała („Bardziej naga”, Arka), Mikołaj Wyrzykowski („Wspomnienia chwili obecnej”, ilustr. Ida Piotrowska)

Podczas dyskusji stwierdzono, że młody, 19-stoletni poeta imponuje wyobraźnią. Umiejętnie korzysta ze środków artystycznych, co świadczy o jego dużej samoświadomości twórczej. W tomie przedstawił dłuższe utwory, nieledwie poematy, a to forma trudna i dzisiaj niemożliwa. W wierszach widać liczne odwołania do antyku, do kultury i sztuki. Są też odwołania do licznych podróży. Są postaci-ikony współczesnej kultury: L. Cohen, Leonardo Di Caprio, Ed Sheeran, Edith Piaf, James Joyce. We własny i oryginalny sposób udało mu się przedstawić całe zwierzęce bestiarium, jest wiele odniesień do współczesnych baśni, np. Tolkiena. Jest też próba zapisu młodzińskich tęsknot i uniesień. Sporo refleksji wspartych ciekawą metaforą. O swoich utworach poetyckich młodziutki poeta napisał: „Wiersze, które tutaj znajdziecie, są zapisem poszukiwania prawdy i piękna. Osobistym, ale jednocześnie wykraczającym poza to co osobiste [...]”.

Ten tomik poezji jest zapisem drogi. Niespodziewanej, krętej, pięknej”. Laureat pisze właściwie od lat szkolnych, ma na swoim koncie także kilka wydanych powieści, jest wszechstronnie utalentowany artystycznie, o mocnych zainteresowaniach humanistycznych. W tym roku rozpoczyna naukę na francuskim uniwersytecie Aix en Provence, gdzie będzie studiował literaturę współczesną.

Stypendystkami w roku szkolnym 2016/2017 zostały Justyna Jaworska z Legionowa i Urszula Wojtaś z Warszawy.



Marek Jastrząb

Po-ranne noce (14)

Częstokroć na swojej drodze spotykałem ludzi zdolnych do wyższych uczuć. Ale mężczyźni, dlaczego jest ich coraz mniej.

Czyli: nie jest tak źle z literaturą, bo pisarze ciągle piszą; jedni gorzej, drudzy lepiej. A jak wiadomo, każdy kiedyś zaczynał od nauki alfabetu: Mickiewiczowi też wyrzynały się zęby!

Trzeba poczekać, bo nawet patałach za-
sługuje na szansę; kto wie, co wylezie z po-
czwarki?

Wszystko to prawda, lecz chodzi o kryteria. Niewielu zasługuje na kredyt zaufania, chce poznać historię literatury, dowiedzieć się, co było przed nim, w jaką stronę zmierza i po kiego. Niewielu pragnie wiedzieć cokolwiek, za to całe mnóstwo preferuje luz i postawę spoko: tacy po wiek wieków zostają niedonoskami.

Mam nieustającą nadzieję, że ta nędzna maniera zniknie pod ciśnieniem czasu.

Słowacki nie poprzestał na samozachwy-
tach, tylko pracował nad sobą. Czytał, pisał,
zdobywał doświadczenie. Gromadził wiedzę
nie tylko o sobie. A czytał, by wzbogacać
swoje i tak przebogate słownictwo. Językowy
wirtuoz, jak nazywał go Julian Krzyżanowski,
podziwiał polszczyznę Kochanowskiego.
Choć w tej chwili grubym nietaktem jest nie
wiedzieć o Kordianie, Mazepie czy Ballady-
nie, za życia nie wystawiono mu żadnego
dramatu. Ale choć nie w pełni rozumiany
przez współczesnych mu rodaków, to prze-
cież jego teksty zostały docenione i odniósł
swoje zwycięstwo zza grobu.

Dlaczego? Bo nie zaczynał literackiej
mordęgi od siadania na laurach i wchodzenia
na pomnik. Nie kłaniał się sobie i nie całował
po ego. Słuchał, uczył się, podpatrywał mi-
strzów. Podobnie, jak czynili to Leśmian,
Tuwim, Żeromski, Kraszewski czy Prus.

Wolę ich czytać z tego powodu, że pra-
cowali nad swoimi umiejętnościami, co wię-
cej, poszerzali środki swoich wypowiedzi, a
nie dlatego, że umieszczono ich w Pante-
onach i Areopagach.

Tylko w tym względzie przeciwstawiłem
ich obecnym bufonom – bezideowym naśl-
adowcom Przybyszewskiego.

Konkluzja: naprzód trzeba znać elemen-
tarz, a dopiero później zabierać się za prze-
mądrzałość. Nigdy na odwrót. A tak się teraz
dzieje. Co ze smutkiem stwierdzam, gdy
poznaję internetową twórczość. Bawią mnie

narcystyczne poglądy na literaturę; jest w
stałym rozwoju, a egoizm prezentowany
przez internetowych twórców, to zaledwie
przejściowy okres. Przypuszczam, że wkrótce
(razem z intelektualnym trądzikiem) przejdzie
im zadurzenie sobą i docenią potrzebę
poznawania historii kultury. Co powiedzia-
wszy, kończę balladę o cyklicznym upadku
obyczajów cytatem z „Wesela” Wyspiańskie-
go: ino im się nie chce chcieć.

„Przekrój”

Ilekoć myślę o losach tego pisma, pisma,
którego nie zniszczył komunizm, zaś wykoń-
czył kapitalizm, a raczej jego parodia – doku-
cza mi depresja; lata temu krążyła po Polsce
piosenka Sikorowskiego Nie przenieście nam
stolicy do Krakowa. A ja sobie śpiewałem: nie
przenieście nam Przekroju do Warszawy.

Niestety, moje modły trafiły pod niewła-
ściwe niebiosa i magazyn zszedł na dziady:
jeżeli przed przeprowadzką w 2002 r. jego
nakład oscylował w granicach siedmiuset
tysięcy egzemplarzy, to po przenosinach,
zmianie profilu i właściciela, dopełzył do czo-
łówki bezwartościowych piśmideł o nakładzie
nie przekraczającym trzydziestu tysięcy.

Kiedy więc mam wolne od zastanawiania
się nad swoim tu i teraz, gdy chcę odprężyć
się i nie zgłupieć do reszty, zaglądam do szafy
zapełnionej starymi rocznikami tego czasopi-
sma i wracam do lektur wywodzących się z
czasu bajek o żelaznym wilku.

Ogarnia mnie wtedy uczucie wściekłości,
że jego poszczególne egzemplarze nie mogą
udowodnić głuszcem i ślepcom, że za komu-
ny też istniało kulturalne życie. Tu stara
śpiwka: życie było wtedy (pod pewnymi
względami) lepsze, bujniejsze, znacznie cie-
kawsze od teraźniejszego, wzbogacone o
przeżycia z pogranicza okolic duchowego
wykwintu. Lecz, jak to bywa z podróżami po
sentymentach minionej świetności, poczęły
mnie dręczyć dwubiegunowe, naprzemienne
reminiscencje, podekscytowania zabarwione
gorzycą, żalem i mgławicowymi nostalgiami.

Z jednej rozpierało mnie uczucie dumy
na myśl, że nawet w chwilach, gdy po naszym
kraju grasowały ideologiczne tłumoki i pełnił
się zamordyzm, potrafiliśmy przeciwstawić
się tym idiotyzmom tworząc unikalny tygo-
dnik. Natomiast z drugiej strony zastanawia-
łem się, jak to możliwe, że w czasach, gdy
nareszcie jesteśmy wolni od grasatów i nie

gnębią nas jakiegokolwiek tuzy cenzury, ciągle
nie stać nas (przy obecnych zdobyczach
technicznych!) na kontynuowanie wypracowa-
nych i sprawdzonych wzorów wydawania
takich pism, a przeciwnie, stać nas na ich
likwidację.

Pieścimy w sobie ongiśniejszy zwyczaj czy-
tania kulturalnych periodyków. Z nawyku
sięgamy do ich lektury, by już po chwili
stwierdzić z rozczarowaniem, że jest coraz
mniej znanych i lubianych, a powstaje coraz
więcej przeciętnych, że zapanowała wszech-
obecna moda na korektorskie niechlujstwo
czy niski poziom sztuki poligraficznej. Nie ma
w tym jednak nic dziwnego: to nasza cena za
niedoinwestowanie, bo za obecny stan rzeczy
odpowiedzialny jest skandaliczny procent
budżetu przeznaczony na kulturę; podczas,
gdy w innych krajach wydatki na naukę czy
oświatę albo się zwiększają, albo utrzymują na
wysokim poziomie, my jako kraj cywilizowa-
ny, a więc mądrzejszy od reszty Europy, ze
wszystkich sił staramy się je zredukować.

Onegdaj narzekaliśmy na szarobury en-
tourage socjalizmu, na wtłoczenie nas w
przeciętność. Ponoć zakończył się najgorszy
etap naszego istnienia w kraju nad Wisłą.
Wszelako nie potrafimy go dotąd zastąpić
efektywniejszym i znowu, jak za minionych
lat, tkwimy w przedśionku do zwyczajności.
Jest mi z tego powodu przykro, a podejrze-
wam, że nie tylko mnie, bo sprawa jakości
edytowania czegokolwiek staje się coraz
szerszym i niepokojącym zjawiskiem. Mógł-
bym więc znowu międlić polemiczne słowa,
dlaczego jest nie tak, jak nie chcieliśmy,
mógłbym przerzucać się samograjowymi
argumentami, ile to nam się pokundliło i
zaplątało na odcinku kultury, ale czy od
mojego marudzenia przybędzie rozumu tym,
co go utracili?

A jak czytam, kto w nim pisał, zalewa
mnie krew. Z autorów polskich: Maria Dą-
browska, Zofia Chądzyńska – kongenialna
tłumaczka Julio Cortazara, Magdalena Samo-
zwaniec, Stefania Grodzieńska, Izabela Czaj-
ka, Wanda Falkowska, Maria Zientarowa
(Wojna domowa), Konstanty Ildefons Gał-
czyński, Sławomir Mrożek, Stefan Wiechecki,
Jan Stoberski.

Jerzy Szaniawski drukował opowiadania
o profesorsze Tutce, Jan Kamyczek prowadził
specjalną rubrykę *savoir-vivre*'u. Można było
zapoznać się z literackimi rozważaniami
Artura Sandauera, napawać twórczością Sta-

(Dokończenie na stronie 4)

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Stanisława Dygata, esejami Jana Błońskiego, z za Żelaznej Kurtyny nadsyłali reportaże z granicy Olgierd Budrewicz i Roman Burzyński, co w gomułkowskich czasach było ewenementem.

Rysunkami przyozdabiał tygodnik Antoni Uniechowski, Zbigniew Lengren zamieszczał swojego Filutka, ilustrował niezapomniany Daniel Mróz, wierszy dostarczali Jan Brzechwa, Janusz Minkiewicz, Ludwik Jerzy Kern, felietonami sypali Jerzy Waldorff i Lucjan Kydryński, a jego brat, Juliusz Kydryński, przetłumaczył Most na rzece Kwai, swoiste uzupełnienie filmu niedostępnego w naszych kinach wyświetlających radzieckie gnioty. W nim publikował swoje powieści (Katar, Śledztwo) Stanisław Lem. W nim też Piotr Skrzynecki przedstawiał swoją obrazkową powieść (Szaskiewiczowa, czyli „Ksyłolit w Jej życiu”).

Natomiast zgnięły zachód reprezentowali Françoise Sagan, Curzio Malaparte, Franz Kafka, niedościgły humorysta – Roald Dahl, Luis Borges, Ramon Gomez De La Serna i wielu, wielu innych pi sarzy, grafików, malarzy, których tekstów próżno by szukać na mapie innych czasopism. Tu znalazły bezpieczną przystań i to wokół niego skupiły się wybitne indywidualności tworzące niepowtarzalny klimat.

Wbrew socrealistycznym modom na intelektualną zgrzebność, dzięki konsekwencji, uporowi, dyplomacji w redakcyjnych rozmowach z ciemniakami od cenzury, narodził się znany i masowo czytany periodyk. Znany powszechnie, gdyż na ówczesnym „ryнку” był wyjątkiem, odmianą, nieustannym uodwadnianiem, że przy odrobinie dobrej woli może powstać coś wspianego, coś wyraźnie, dobitnie, namacalnie różniącego się od partyjnych zaleceń. Marian Eile, pierwszy Naczelnny (od 1945 do 1969) przeszedł do historii: wykruszyła się stara wiara i nastąpiło WIELKIE BUM i nadejśćszy czas zwycięstwa miernot.

Ruch, to zdrowie!

Dbamy o siebie tyle, co nic. Leczymy się incydentalnie. Ruszamy się niewiele. Przeważnie siedzimy. Jeżeli stoimy, to tylko w korytach.

W pracy odwalamy robotę przyspawani do dwóch urządzeń: krzesła i komputera. Po pracy jedziemy do domu. W domu siadamy przed telewizorem i czekamy na obiad. W przerwie na rozruch pudła z nowinami, bierzemy z lodówki zgnięłą wodę nazwaną pepsi oraz na przekąskę – nędzne kilo frytek.

Po godzinie rajskiego tycia przed ekra-

nem, stara od garów wnosi talerz ociekający cholesterolem i z kanapy przemieszczamy się na krzesło przy stole. Telewizor ma wygodkę w postaci pilota i nie musimy odrywać się od ukochanej kielbaski, by zastąpić program o diecie – cud, programem o kurczakach z ropy naftowej.

Okno w pokoju mamy szczelnie zamknięte, bo słyszeliśmy w reklamie, że zepsute powietrze ma niszczący wpływ na frekwencję naszych węgłów, a cyrkulacja zaduchu zlikwiduje nam hemoroidy.

Po szczęśliwym pochłonięciu półmistrzowej kielbasy podlanej piwem, wracamy do ulubionej pozycji brzucha wycelowanego w sufit. Po pierwszym beknięciu, patrząc na świat obudzonym okiem, zapadamy w błogi sen o świątecznej golonce po meksykańsku.

We śnie widzimy dwie tłuste i rozjuszone gicze cielece walczące o widelec. Widelec wpadł po zęby w słoik z musztardą.

Rozlega się jego rozpaczliwe wycie i budzimy cię zlni potem.

By się otrząsnąć z koszmaru, przesiadamy się do komputera.

Fotelik jest mięciutki, obrotowy i dopasowany do zwiotczałego tyłka. Maszyna burczy, warczy i gwizdże na nas, lecz jej ekran poczyna uwodzicielsko mrugać dając nam sygnał, że jeszcze żyje. Przystępujemy więc do relaksu.

Relaks nazywa się zażartą grą w coś o nic. Gra jest formą gimnastyki palca średniego. Pozostałe mają wolne. Korzystamy, że nasze dzieciętko poszło na hulankę i zaczynamy ujeżdżać.

Znajdujemy się w kartonie Pana Smoka i naszym zadaniem jest sprawić mu łomot i skasować mu trzy wredne głowy broniące skarbu.

Ochoczo rzucamy się do tej herkulesowej pracy. Nic to, że mamy zadyszkę i wszystkie możliwe kolki naraz. Przy elektronicznym bydłaku czujemy się wysportowanymi gladiatorami zdolnymi do niejednej krucjaty. Toteż z krępkim jazgotem pomyłonego Tarzana wyruszamy na wojnę z bajkowym podlecem.

A po drodze przygód mamy w bród. Co chwilę z za węgła jakiegoś korytarza wyskakuje barczysty opętaniec z laserowym mieczem i albo wymiksujemy go do niebytu, albo zaczynamy grę od początku.

W ten sposób odpoczywamy przed pójściem do łóżka. Idziemy spać, bo pociecha wróciła z imprezki i chce dosiąść komputera, ale przed snem należy przegryźć małe co nieco. By nie budzić karaluchów, wsuwamy się na zadartych paluszkach do kuchni i zaglądamy do wnętrza lodówki.

A tam specjalny, cymes, przepychy, całe stopy kalorii, istne rozpusty i orgie smakowe! Aż strach, że tyle dobra ominie nasz przełyk, że wszystkie te słoiki, puszki i torebki nie trafią na nasz język, że nie zaczniemy ich gryźć, szarpać i rozdzierać na sztuki, bo z przerażeniem stwierdzamy, że razem z dzisiejszą kielbaską połknęliśmy ostatni ząb. A

ząb to był zasłużony, bo ząb mądrości!

Jeszcze niejedno mięsko mógłby drasnąć, cóż, kiedy nie chciało się nam pójść do sadystry od leczenia kłów.

Szukamy więc winnych naszych ubytków i znajdujemy: to te słodkości, pyszotki, batony i desery pozbawiły nas szczerego uśmiechu, wymiotły z twarzy grymas wiecznego zadowolenia i dały w zamian uśmiech ponurego żuła.

Siema, przyroda!

Niedługo będziemy musieli czekać na upragniony sukces: wkrótce, wysiłkiem wielu układów trawiennych, nasze ukochane Mazury zmienią się w największe szambo w Europie. Tereny leśne, obfite w zwierzynę, świeże powietrze i ciszę, zostaną wygumkowane z istnienia. Nad jeziorami pojawią się rachityczne bungalowy w stylu zakopiańskim; tubylcy z ciupagami w jednej, a oscypkami kaszubskimi w drugiej ręce urządzią ceprom klawą potańcówkę na sztachety.

Mrowie pikników, biwaków, lub innych wyjących imprezek stanie się powodem ucieczek zwierząt. Zajęte pochłonięte upojną drzemką pod miedzą zostaną poddane decybelowym zmorom, a ich sielski spokój padanie bez odwołania. Stare jelenie, jak przez mgłę pamiętające lepsze czasy, zmuszone do galopu celem ucieczki przed alkoholowymi miłośnikami łona natury (lub jakiegokolwiek łona), gnać będą ze strachu na oślep i szukać ratunku poza dotychczasowym miejscem swojego parkowania.

Znikną rejterując i gubiąc po drodze poroża. Wyniosą się do sąsiednich gmin i województw, ale i w nich będą dobrzy ludzie z pałami, betoniarkami i ekologicznymi pomysłami na wykończenie Matki Natury. Szybko więc dojdą do wniosku, że trzeba im w tę pędą wyginąć. Poznijkają też zacne suwary, tataraki, podmokłe siedliska rozczwierkanych i kumkających stworzeń.

Na ich miejscu zasadzi się ściernisko pod nowy bank, a bank to będzie okazały, świeżutki, pachnący przekrętami. W ramach troski o cudowną przyszłość, stworzy się kombinat produkujący świeże powietrze i fabrykę cyjanku dla „późnego wnuka”.

Dla promocyjnych potrzeb naszej turystyki stworzy się odpowiednie prospekty ze zdjęciami chwytającymi za portfel czy serce. Zaprezentuje się w nich zabytkowe widoki na plastikowe Mazury i asfaltowe doliny do gry w golfa. Wreszcie nasza rekreacyjna perła dewizowa dokużytko do pozostałych rezerwatów z okolicznościami przyrody. Jakoś dopełnie do Narodowych Pieścidełek Folderowych.

cdn.

Marek Jastrzęb

Mniej Więcej (137)



Foto: Zofia Mikula

Olkuskie Macondo

Byłem niedawno w Olkuszu – po raz drugi w życiu. Byłem z tego powodu, żeby umoczyć palce w promocji nowej książki Mirosława G. Majewskiego pt. „Wpływ księżycy”. Poświęciłem mu zresztą niedawno tekst w tym miejscu. To autor leniwy – zaczynający pod koniec lat 90-tych, co do tej pory uwiecznione zostało zaledwie trzema książkami. Za to dobrymi.

Leszek Żuliński

Promocja odbyła się w olkuskim Biurze Wystaw Artystycznych. To bardzo piękne, przestronne miejsce z mnóstwem rozmaitych i ciekawych obrazów. Lecz nie tylko galeria, bowiem tam właśnie – jak zdążyłem się zorientować – jest centrum Olkusza kulturalnego. Tu odbywają się rozmaite imprezy, tu znajdują swoje miejsce olkuscycy adoratorzy sztuk wszelkich. Widać, że placówka jest żywa i promieniująca.

Związany jest z nią Olgerd Dziechciarz – koneser i kronikarz Ziemi Olkuskiej, dziennikarz, felietonista, regionalista, prozaik, no i poeta. Z dossier wynika, że bardzo wszechstronny i pracowity, o niemałym dorobku dziennikarskim i publicystycznym. Również, i między innymi, jest współorganizatorem znanego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Ratonia. Ale będę się trzymał konwencji mojego cyklu i zajmę się poniżej wyłącznie Dziechciarzem-literatem, który opublikował już kilka tomów prozy i siedem zbiorów wierszy. Tym razem nie będę pisał o ostatniej książce, tylko o trzech, które przeczytałem.

Mam przed sobą wybór wierszy Dziechciarza z lat 1988-2003, zatytułowany *Wiersze (p)rózne* (Wydawnictwo Neon, 2008). No, czy wiersze różne – to na pewno, a czy prózne –

to niekoniecznie. Zbiór jest podzielony na trzy części: *Dialog*, *Monolog* i *Milczenie*. Już na początku podbił mnie wiersz pt. *Rozmowa IV*, który cytuję w całości: *słowa w zwycięskiej defiladzie / opuściły moje usta / grom z jasnego nieba / nie mógł im się równać // a brzmiały / jak stado baranów / w galopie / lub tysiąc tokujących / cietrzewi // czy zna ktoś rym / do słowa cietrzew / (bogu dziękować / nie muszę się wysilać / na rymowanki / któż o zdrowych zmysłach / rozmawia wierszem) // partner w dyskusji / usnął / zmorzony morzem alkoholu // wielka szkoda / wielka // zostało jeszcze tyle / niedomówień / o których / chciałem mu / nie powiedzieć.*

To dobry wiersz, ciekawy – klasyczny przypadek poezji „nielirycznej”, pozbawionej ozdóbek i „klimatów”, a preferującej język niemal sprozaizowany. Ale zauważcie, ile w tym wierszu istotnej, ciekawej treści. Cenię poetów, którzy chcą powiedzieć coś pięknego, ale jeszcze wyżej stawiam tych, którzy chcą mówić coś ważnego.

W części drugiej – w *Monologu* – znikają, co oczywiste, interpersonalne dysputy. To raczej konstatacje, ale nie bujające w obłokach, a twardo stąpające po ziemi, jak np. w wierszu pt. *Człowiek nie powinien być dojrzały*. Oto on: *człowiek nie powinien być dojrzały / dojrzały owoc szybko gnije / powinien być akurat taki / jak trzeba / czyli nudny i powierchowny / wiadomo że wyśpi się przepracuje dniówkę / przeczyta gazetę / jeśli jest samicą / robi samcowi sweter / albo czwarty szalik / nocą złoży swe ciało w ofierze partnerowi / czasami śni / że ma w sobie tyle bezczelności co / pierwszy z brzegu polityk / albo że jest odjazdowy jak ten fiut Marilyn Manson / albo chociaż zezgredziały jak kolesie Sex Pistols / jeśli spytacie o jego wnętrze / otworzy się przed wami / niczym wypełniona pepsi-colą / lodówka.*

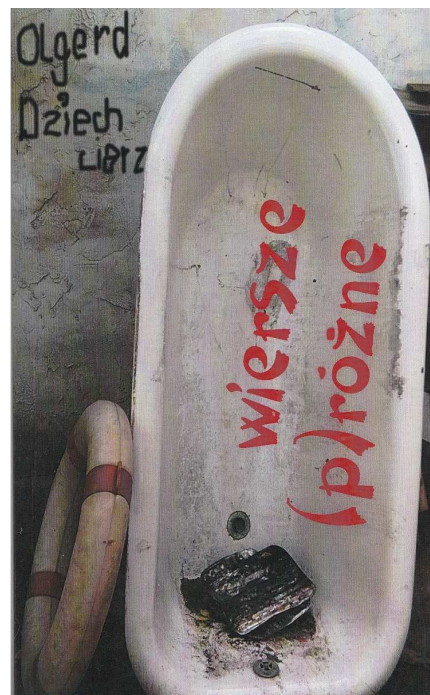
To już jest komentowanie „ikonostanu” naszej współczesnej rzeczywistości i kultury. Luzacki język, bo luzacka codzienność. I zwyczajność, która wypełnia pierwszoplanowy ekran każdego dnia. Poezja „zwyczajności” bardzo „leży w uchu” Dziechciarzowi.

A trzecia część tomiku – *Milczenie* – ociera się o sferę „pospolitego szczęścia”. Wiersz *Miłość: w którą stronę się nie obrócisz / zawsze stoisz tyłem / czy nie tak jest / miłość wymaga // wpięć poświęcasz czas / spokojnie wystarczy piwo / i banalne słowa / z jakich składa się każda / rozmowa // a potem masz miłość jak na patelni / do woli / ile wlezie / a ż się rzygać chce // a potem jest dziecko / jeśli urodzi się żywe / zamorduje miłość / pierwszym / krzykiem.*

Pobrzmięwa w tym wierszu coś z sarkazmu Bursy. Ale sedno w czym innym: w tym mianowicie, że autor fotografuje słowami nowy czas i nową aurę relacji i wartości. Tego typu poezja zazwyczaj ma więcej do powiedzenia niż jej cioteczka-liryka. I to Dziechciarzowi wychodzi znakomicie.

W roku 2014 ukazał się zbiór opowiadań Dziechciarza pt. *Pakuska*. Książka zawiera ponad 140 mini-opowiadań, mini scenek. Pakuska to olkuskie osiedle, na którym autor się wychował. Jego matecznik. Zero fikcji – raczej real aż do bólu. Niektóre scenki z robione z pisarskim pazurem, inne takie jak ta: *Niby są trzy partie, ale tak naprawdę jest tylko jedna – Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. To jak z Bogiem – też niby jeden, a przecież w trzech postaciach: Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty.* „Partia z narodem” – to hasło znam z transparentów. Ale z tego, co słyszę od dorosłych, w drugą stronę to nie działa, bo naród z partią już niekoniecznie. No, arcydziełko to żadne, ale cymes w czym innym: Dziechciarz aż do bólu realistycznie pozostawił ślad czasu, w którym dorastał i *genius loci*, który mu wygarbował młodzieńczą skórę. Powstała książeczka jedyna w swoim rodzaju.

Jeden z wcześniejszych tomów noweli-stycznych – *Masakra* (2007) – był bardziej wylewny i mniej „zminiaturyzowany” niż *Pakuska*, ale morał dla mnie wynika jeden i zasadniczy: Dziechciarz twardo stąpa po ziemi. Owszem, potrafi wyprawiać ze swoim realizmem różne korowody, bardzo świadomie doбира stosowne języki i aury, jednak siłą jego prozy jest właśnie wspomniany realizm. I pamięć biograficzna, która w dużej mierze czyni tę prozę „behavioralną”. Mimo to świat tych faktów ma w sobie coś magicznego. Zdziwieni byłiby autorzy iberoamerykańscy, gdybym im powiedział, że my też mamy swoje Macondo. Kładę na stół Olgerda Dziechciarza jako dowód.



Olgerd Dziechciarz, „Wiersze (p)rózne z lat 1988-2003”, Wydawnictwo NEON, Olkusz.

Agnieszka Kostuch

Mosty

Twarze przodków w kolorze sepii
których nigdy nie dotknęłam
wiejskie ogrody a w tle jabłonie
dom pod strzechą – ubogie progi
malwy przy oknach

Opowieści matki o prababci –
westalce podtrzymującej ogień od świtu do
o dziadku – Atlasie dźwigającym ciężar
o domu budowanym na skale wiary
o jarmarkach – świętach dzieci
między żniwami wykopkami a szkołą
do której biegło się na boso

Obrazy i słowa – mosty w nieznanym bliski
dzięki nim przekraczam próg
dotykam dłoni twarzy
czuję zapach kwiatów owoców
sok spływa po brodzie

Niebieski sen

Mała dziewczynka
rozsypuje ziarno dla kur
wodą ze studni poi pelargonie

Czasem odwiedza zagajnik
pełen dzikich gruszek
i orzechów laskowych

Jeszcze nie wie że to jedyny
raj którego doświadczy
i opuści bezpowrotnie

Na razie trwa
jej sen niebieski
z obłoków i chabrów
z miejsc pełnych obecności
Pana Boga

Maskarada

Przebieram dawne dni jak brzydkie lalki
Zakładam im jasne sukienki
wyczesuję przestraszone myśli
i spinam różowym szczęściem
Nie wracam do chwil kiedy bawiono się
Kiedy nie miały sukienek utkanych z miłości
ani wstążek kolorowych myśli
Kiedy wyrwano im rączkę rzucono w kąt i
złamano zbyt dorosłe serce
A jednak czasami chciałybyśmy ocalić

niektóre z nich
od tej dziecinnej maskarady
Pozostawić w brzydkiej prawdzie

Koszmar z tysiąca i jednej nocy

Mój dzin schowany jest w butelce po winie
Kiedy zjawia się wieczorem mimo
ma oczy przekrwione pyta o obiad
nienasycony rzuca talerzem
(przecież żywi się strachem innych)

Chowam dzieci
On nie spełni ich życzeń o bezpieczny dom
Widok mokrych oczu wzmoże jedynie jego
Dziecięcy strach daje wyjątkowo
sycące poczucie władzy

Nażarty naszym przerażeniem
ból rezygnacją
zapada na dno butelki

Gdzie zapodział się ten cholerny korek
Szukam pospiesznie
po gabinetach i salach sądowych
A gdy znajduję –
mogę wreszcie zapłakać

Ucieczka z Kurkenstraße

Szukałam twojego domu w mieście
ciemności nie sprzyjały poszukiwaniom

Mijałam niemieckie kamienice nerwowo
wypatrując tabliczki z napisem *ul. Smętka*
znalazłam tylko *Kurkenstraße*

Ługowe lampy gasły

Zaczęłam potykać się o własne strachy
słyszec
kroki nie twoje (skąd mogłam wiedzieć że
gdy zakrzyczyły *Halt!* (a może to było
uciekłam

uciekłam

Więcej nie pamiętam

* * *

Dziękuję
za to że wprowadzałaś w świat pacierzem na
stawiałaś anioła stróża przy łóżku
wypełniałaś dom zapachem ciasta
krociłaś gorącym mlekiem czerniną

zaczarowywałaś piwnicę w królewską
oddzielałaś mak od popiołu bym zdążyła na
godziłaś z siostrą Salomonową mową

za to że ocalałaś nasz dom 365 dni w roku
od głodu ognia i wojny
od fałszywego szczęścia przeliczanego na
od pustki duchowej

za to, że nie mieścisz się w naszej głowie,
mamo

mamo

* * *

Zawołaj mnie do swojego snu
pachnącego miodem z nawłoci
malinowym sokiem miętą
jajeczną przyprawioną troską

W twoim śnie można zgrzeszyć
jedynie brakiem radości szczególnie
gdy jest się dobrze odżywnym
Wszystkie inne błędy i wady wydają się
być usprawiedliwione i wybaczone

Nie boję się upaść
Tam spada się miękko na cztery łapy
na zieloną murawę a czasem
w twoje ramiona

Laboratorium

Wszystko we mnie zamarza
wspomnienia ciepłych dni dłoni
gorących słów ust
zamieniają się w sztywne ekspozyty

Chowam je głęboko do
najzimniejszej z szuflad mojej pamięci
przydadzą się już tylko do badań nad
wierszem który marznie w ciszy
ogłocony ze słów snów

* * *

Dziadek Joachim miał fajkę
i postępujące SM
przenosił góry przeciwności
uczył miłości która w s z y s t k o znosi

Tej wiosny zasadzę malwy –
akty strzeliste mojego dzieciństwa
by wzniosły moje prośby
do ciebie dziadku

Kiedy zakwitną proszę
posiedź ze mną przy nich
niewidzialny i tak mocno o b e c n y

Zygmunt Dekiert

Sacrum - profanum

Barykady
krzykliwe dobrym uczynkiem
zostawiam za zasłoną dnia
bezpowrotem zauroczenia
w zakątku bogobojnej ciszy

Trwam pokutą niespełnienia...

W pejzaż Nieba
gnam echem modlitwy
– bezimiennie

Otulony aksamitem błękitu
bielą obłoków kołysany
ciszą błogą zasypiam opętańczo
w jutrzejszego grzechu zatracenie

Ta jedna chwila szczęścia

Jestem na każde twoje życzenie

Trwam mirażem doznań

W zapachu twych włosów
szukam schronienia

Chwila ekstazy
wyrocznią jutra (?)

Ktoś śpiewa pieśń o tobie

Moje murmurando
lżą w ust kąciku

Euforią
zapominania pocałunku
pamiętaniem życzeń spełnionych
zwiastowaniem niedowierzania
– tonę

Paweł Marciszewski

Przed wygnaniem / o szczęściu

I
przed wygnaniem wypędzony
żyje w cieniu gradowej chmury
wykutej w wyniosłym marmurze
wysokiego sklepienia –
w klepsydrze z wody niebieskiej
i z wody ziemskiej
i choć światło jeszcze –

w czarnym zasypia
śni czarne
do czarnego się budzi

patrzy na to przesywanie
biały gruchot
treść czasu
z ciemnym płótnem w tle
i choć wypadki
jeszcze nie ruszyły
sylwetki już na scenie
i on już wie

wyjawiają te figury
zasypiając słyszy
odległą burzę

II
ostrz swoje pióro
będziesz pisał lity do kobiet
bo to zawsze są kobiety
które twoje słowa czytają

III
składaj swoje ręce
i zginaj kolana
będziesz mówił pacierze
i zdzierał skórę
przed kapliczkami
z drewna zmurszałego
bo to one
twoich modlitw słuchają

IV
a teraz udawaj że nie wiesz
nie pamiętasz
jeśli to możliwe zapomnij naprawdę
idź patrz w niebieskie okno
cytat z nieba
patrz jakby zawsze
miał być czysty
a w chmurach szukaj kształtów
wróżb i dobrych znaków
daj się wodzić
daj oszukać

miłość życia

chłopiec:
wypływa z ust rzeka
ciepła wstęga z karmazynu
z węzłem na sercu
przechodzi przez ręce
ludzi mijanych
zaplatają pęki na palcach
dla pamięci
i miłości życia

mąż:
jest dom na wzgórzu
i ogród za nim

jest drzewo w ogrodzie
kość o pień oparta
i kręgi z ptaków
w jasnym świetle
niemego nieba
kreślą linie
dla przyszłości
wciąż krzepnącej
i miłości życia

starzec:
jest twarda gruda ziemi
i jest żelazo
raz za razem
rażące jej ciało
nagle miękkie ciepłe dobre
jest wyrywanie jej miejsca
nowego domu z dala
niknie w nim nic już cienia
dla ukojenia
i miłości życia

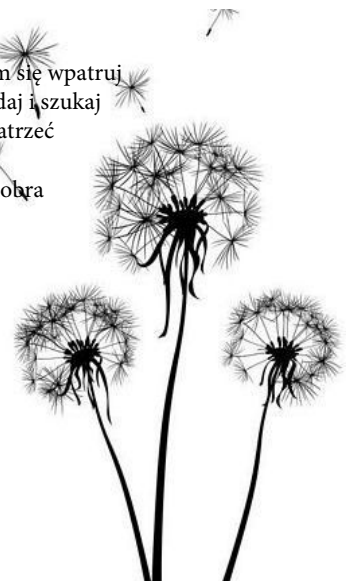
miłość własna

uporczywie wpatruj się
w witraż duszy
wprawiony w brudne
kruche ramy ciała
trzymają w dłoniach drżących kalejdoskop
nieba
okno jedno
zdarza nam się wyglądać

z czołem marsowym
nie ustępuj pola
choćby na krok –
ciało wyczuje słabość
zagarnie co twoje
wykorzysta wszystkie okazje

czyń to wszystko
bez oschłości serca
której strzec się trzeba
jak nakazano
dbaj o to

więc
z uporem się wpatruj
bądź badaj i szukaj
trzeba patrzeć
dopóki
kształt dobra



[Ryszard Danecki]

Jubileusz Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu



Związek Zawodowy Literatów Polskich powstał w Poznaniu – jako trzeci po Warszawie i Lwowie – 8 maja 1921 roku. Jego pierwszym prezesem został, mieszkający w Kołaczku koło Wrześni, Władysław St. Reymont, późniejszy laureat Nagrody Nobla. Przed rokiem 1939 do Związku Literatów należało wielu dziennikarzy i profesorów uniwersyteckich. Wśród tej społeczności byli tak wybitni pisarze, jak Józef Weyssenhoff, Arkady Fiedler, Emil Zegadłowicz, Zenon Kosidowski, Aleksander Janta-Polczyński, Jan Sztudynger, Artur Marya Swinarski.

W roku 1934 zainicjowano, istniejące do dzisiaj Czwartki Literackie, goszczące najznakomitszych ludzi pióra z różnych stron kraju...

W marcu 1945 odbyło się pierwsze po okupacji hitlerowskiej zebranie Związku Literatów pod przewodnictwem Tadeusza Kraszewskiego. W maju widnieje na liście członków 20 nazwisk wśród nich Jarosław Iwaszkiewicz, który został redaktorem naczelnym wydawanego dwutygodnika Życie Literackie. Gdy w czerwcu 1946 roku Iwaszkiewicz został prezesem Zarządu Głównego i wyjechał do Warszawy, redaktorem naczelnym został wybrany na prezesa w Poznaniu – Wojciech Bąk. Wznowiono przyznawaną od roku 1927 Nagrodę Literacką Miasta Poznania.

W roku 1956, po krwawym Poznańskim Czerwcu, powstał ogólnopolski Tygodnik Zachodni, którego redakcją tworzyli młodzi

pisarze Bogusław Kogut – redaktor naczelny, Przemysław Bystrzycki, Ryszard Danecki, Piotr Guzy, Stanisław Kamiński i Włodzimierz Odojewski.

Wtedy też zaczęła publiczną działalność grupa literacka Wierzbak, założona przez Ryszarda Daneckiego i Mariana Grześczaka. Dysponując łamami Tygodnika Zachodniego oraz pisma studentów i młodej inteligencji Wyboje, odegrała w powojennym życiu poetyckim kraju taką rolę, jaką w okresie międzywojennym grupa warszawska Skamander. Wierzbak zwoływał pierwsze ogólnopolskie zjazdy poetyckie Poznańskie Listopady, które mają już obecnie charakter międzynarodowy. Dokumentuje to antologia Wiek Wierzbaka wydana przez Media-Rodzina na półwiecze tej grupy.

Wydarzenia stanu wojennego spowodowały, że część kolegów nie zdecydowała się pozostać w odradzonym w całym kraju ZLP – stworzyła się wyraźnie zaznaczona cezura czasowa roku 1981. Obrazowały to dwie kolejne, duże wystawy jubileuszowe, przygotowane w Bibliotece Raczyńskich na 80- i 85-lecie Związku Literatów Polskich.

Po ówczesnym prezesie Poznańskiego Oddziału ZLP Nikosie Chadzinikolau wybrany został na to stanowisko Zbigniew Gordziej. Mimo rozlicznych kłopotów finansowych, potrafił nie tylko utrzymać przy życiu coroczne Międzynarodowe Listopady Poetyckie, ale i stał od roku 1945 siedzibą ZLP przy ulicy Noskowskiego 24.

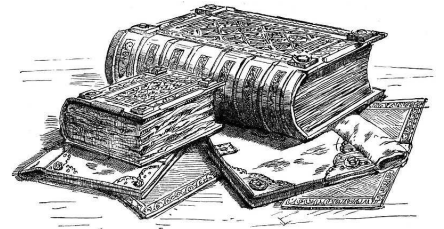
W styczniu tego roku walne zebranie powierzyło funkcję prezesa Pawłowi Kuschczyńskiemu poecie i krytykowi.

Po II wojnie światowej, kiedy Związek przekształcił się w stowarzyszenie ściśle twórcze, rangę poznańskiemu środowisku pisarskiemu nadawali – aby ograniczyć się do kolejnych zmarłych – Kazimiera Iłakowiczówna, Wojciech Bąk, Wacław Kubacki, Roman Brandstaetter, Jerzy Pertek, Bogusław Kogut, Jerzy Mańkowski, Bogdan Rutha, Eugeniusz Pauksza, Aleksander Rogalski, Egon Naganowski, Włodzimierz Scisłowski, Marek Obarski, Lucja Danielewska, Tomasz Agatowski, Gerard Górnicki, Wincenty Różański, Nikos Chadzinikolau...

Poznański Oddział ZLP skupia obecnie

ponad 60 pisarzy i jest liczebnie największą – po Warszawie – organizacją tego stowarzyszenia w kraju.

Materiał przedrukowany za zgodą Oddziału Poznańskiego Związku Literatów Polskich.



Obchody Jubileuszowe

Zarząd Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu Dyrekcja Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu zapraszają 7 lipca br. o godz. 17.00 na UROCZYSTOŚĆ JUBILEUSZOWĄ 95-LECIA ISTNIENIA POZNAŃSKIEGO ODDZIAŁU ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH z udziałem zaproszonych gości, przedstawicieli władz miasta, województwa, bibliotek, organizacji, twórców, stowarzyszeń, związków twórczych.

Otwarcia uroczystości dokona Prezes ZLP Oddziału Poznańskiego – Paweł Kuschczyński.

Obecni zapoznają się z historią poznańskiego oddziału, w opracowaniu Zofii Grabowskiej-Andrijew. W programie uroczystości m.in.:

1. Ważniejsze dokonania członków oddziału na przestrzeni 95 lat jego istnienia, ze szczególnym uwzględnieniem czasu współczesnego.

2. Książki poznańskich literatów, wydane w ciągu trzech ostatnich lat oraz nagrody, jakie literaci otrzymali.

3. Prezentacja twórczości – wierszy i prozy wszystkich członków poznańskiego oddziału ZLP. Każdy autor przeczyta jeden wiersz, bądź krótki fragment prozy.

W dalszej części uroczystości zapraszamy do wspomnień i refleksji.

„Kolorowe jarmarki”

„Kiedy patrzę hen za siebie, w tamte lata co minęły, czasem myślę, co przegrałem, ile diabli wzięli.

Co straciłem z własnej woli, ile przeciw sobie”...

Myślę, że na jedno wychodzi. Trzeba najpierw poddać pod rozwagę znaczenie – przegranej i własnej woli. Niekiedy tą wolą jest po prostu mus, ale łatwiej zgonić całą winę na wolę. Czy na warszawskiej Woli wszyscy mieszkańcy znaleźli się z własnej woli? Nie!, nie, nie.

Rzadko ludzie spoglądają za siebie, z różnych względów, a najczęściej powodem jest strach przed utratą kogoś czy czegoś. Przy okazji każdej podróży zostawiamy coś za sobą i często biorą to diabli. Najważniejszym momentem jest utracony czas i to, co z nim związane. Doskonale wiemy, że wszystko dzieje się w czasie i przestrzeni, a bez czasu, nic się nie dzieje, co mogłoby się dziać. Czas, który nigdy się nie zatrzymuje – choćby stanęły wszystkie zegary. Czas to coś, co nie pozwoli się nikomu, ale to nikomu, oszukać. Mówią, że czas to pieniądź, ale ten przemija wraz z czasem. „Kiedy patrzę hen za siebie w tamte lata, co minęły”, to coraz częściej zastanawiam się, czy tak musiało być? Może lepiej, że nie znam odpowiedzi, że nikt jej nie zna. Chciałbym, by miniony czas powrócił, choć nie do końca wiem, czy jeszcze raz zdołałbym przejść przez to piekło zwane emigracją. Gdybym o tym pisał dwie dekady temu, mógłbym być niezrozumiany, ale dzisiaj, kiedy większość młodych zmuszona jest szukać chleba, którego w kraju coraz mniej...

Dziękuję wam wszystkie rządy mijające się z Polską – za tych, co wyjechali „z dobrej woli” w poszukiwaniu pracy i chleba. Hasło to dobrze znali nasi rodzice i to jeszcze jeden dowód na to, że historia lubi się powtarzać. Dziękuję wam również, za „sprawiedliwy osąd” zbrodniarzy stanu wojennego. Szkoda tylko, że znakomita część rządzących (przez ostatnie ćwierć wieku) chlubi się dyplomem prawnika. Niedouczeni, czy co? Przegląd ostatniego ćwierćwiecza nie tylko budzi niepokój, ale odrazę do władz. Jeśli ta nie potrafi obronić obywatela, to kogo? Dzięki wam panowie, za waszą mądrość i odwagę. Idźcie po najniższej linii oporu, robicie z nas parobków. Jedynie dobrze w naszym kraju prosperuje handel (nie mylić z zagranicznym) ten nie istnieje. Mam na myśli sprzedaną Polskę.

Kiedy patrzę hen za siebie – widzę wiele gałęzi przemysłu w dość dobrym stanie, widzę szpitale i wojsko – wszystko diabli

wzięli. Może niezupełnie; wszak nie zabraknie u nas blaszanych zegarków, baloników na druciku i koników bujanych (skoro nie ma żywych). Unia nam to gwarantuje. Jednak marzenia młodych muszą się skupić głównie na chatkach z piernika, nie z cegły. To również gwarantuje Unia.

Po latach będą powracali zmęczeni pracą i tułaczką synowie z małymi tobołkami do „ojców marnotrawnych”, dokładnie odwrotnie jak jest napisane. Dlaczego z tobołkami, bo już nigdzie nie ma pieniędzy, pozostaje jedynie jałmużna, a tej na konta nie przyjmują. No! chyba, że ktoś kombinuje, a i takich tu mnogo.

Żal mi żołnierzy walczących za wiele wolności, czyżby ginęli na darmo? Żal mi poetów i pisarzy troszczących się o Ojczyznę i żal matek i rodzin zabitych na ulicach i w kopalniach. Zawsze i wszędzie było karane surowo dopominanie się o swoje.

Żal mi również sumienia „nieznanych sprawców”, którzy mają kłopoty w odnalezieniu Ojczyzny.

Już wkrótce, często będziemy spoglądali w przeszłość, skoro nie widać przyszłości.

Ile przegrali tułający się po świecie, pozostaje dla nas tajemnicą, niekiedy przegrali nawet całe życie. Nikt mi nie potrafi udowodnić, że rozłąka z rodziną nie ma skutków ubocznych.

Kolorowe jarmarki ukończyły trzydzieści lat, ale słowa napisane przez Ryszarda Ulickiego pasują również do teraźniejszości. Pasują jak nigdy do sytuacji, rozwoju wydarzeń i historii, która się tworzy bez względu na okoliczności.

Kiedy patrzę hen za siebie, bardziej wszystko rozumiem, zauważam, co jest, a czego ciągle światu i Polsce brakuje. Nigdy Polakom nie było łatwo, ale dlaczego nie potrafimy się odbić od tego dna, do którego prawie zdążyliśmy przywyknąć. W czym Polak jest gorszy od Niemca czy Żyda. Dlaczego dominacja innych nas przygniata. Po to kształcimy młodzież, by była parobkami u innych?

Często stawia się Polaków w niekorzystnym świetle, nie tylko w kraju, ale i za granicą, że dużo piją, co nie jest tak do końca prawdą. Pewne jest to, że świat o nas mówi, co chce, wszak nie ma nas kto bronić. Zaręczam, że pijących nigdzie nie brakuje. Ludzie pili przed nami i będą pić po nas. A jeśli już pić, to za kogoś. Wychodząc naprzeciw autor Kolorowych Jarmarków napisał piosenkę „Pójdźmy dziś na ilość”, która jak ulał pasuje do dzisiejszego toasta:

*...wypijmy za tych, którzy nas zdradzili
i za tych, którzy wierni nam!
Jak zwykle, w tak podniosłej chwili
wypijmy zdrowie pięknych dam!
Za tych, co nigdy nic nie mają*

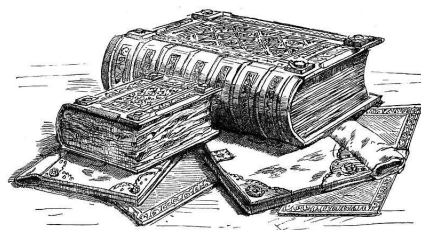
*i za tych, którzy mają mieć,
za tych, co zawsze wygrywają
i za przegranych – pijmy też!*

*Wypijmy za tych, co się pogubili
i za tych, których nie ma już
Za tych, co w życiu pobłądzili,
spalili las, żałując róż.*

Kiedy patrzę hen za siebie, w tamte lata co minęły, czasem myślę, co przegrałem...

...może nie życie, ale przegrałem wiele, resztę diabli wzięli.

Władysław Panasiuk



Zdaniem Polaka

„Polskie obozy śmierci”. Chyba każdy z nas, czuły na historię, gdy widzi takie sformułowanie, natychmiast czuje odrazę, niesprawiedliwość i wzbiera w nim żądza protestu. Takie niedopatrzania, błędy (pominę tu istotność, czy jest to robione przypadkowo, czy celowe) zdarzają się na szczęście nie u nas, a zagranicą. Ale i u nas, w Kraju, nie brakuje przecież tego typu kontrowersji, które na domiar złego, są zwykle, mniej lub bardziej, ale przemysłane.

Ostatnio panuje moda na tytułową krytykę Polski i jej historii w ogóle. Autorzy owej krytyki znajdują fakty, które mają zburzyć nasze narodowe przekonanie o pięknie i dumie jakiegoś wydarzenia. Szczególnym jest trend na ujawnianie polskiego antysemityzmu. Nie jestem w tej sprawie biegłym autorytetem, ale kierując się posiadaną wiedzą historyczną oraz instynktem samozachowawczym, wykorzystując przy tym fakt, że jestem Polakiem, mam prawo stwierdzić, że mi się to nie podoba.

Nie zaprotestuję, gdy usłyszę, że powstanie styczniowe czy powstanie warszawskie były powodowane emocjami. Nie będę się nawet zarliwie sprzeciwiał, gdy ktoś mi powie, iż na swój sposób nie były one w pełni przemyślane. Jednakże z drugiej strony nie bądźmy znowu tacy historycznie egocentryczni, a wźyjmy się w sytuację ludzi tamtych czasów. Czyż nami, w takiej sytuacji, nie kierowałyby

(Dokończenie na stronie 10)

Zdaniem Polaka

(Dokończenie ze strony 9)

bardziej emocje niż zdrowy rozsądek? Czyż my nie bylibyśmy, tak jak wszyscy wówczas, wychowani na romantyzmie? Postawmy się zatem w położeniu ówczesnym, a dopiero wtedy dokonujemy osądów. Niech będą też one oględne i precyzyjne, a nie niedokładne, w dodatku z których możemy się łatwo wycofać. Moim zdaniem nie jest to całkiem w porządku.

Wracając do problemu antysemityzmu polskiego. Chciałbym poprzeć to odpowiednim przykładem. Głośną była niedawna wypowiedź p. Jana Grossa dla niemieckiego „Die Welt”, o tym, że Polacy to naród antysemitki, który „podczas wojny zabił więcej Żydów niż Niemców”. Nie chcę wchodzić z autorem w polemikę ani zagłębiać się w jego myśli i intencje, a pragnę jedynie zilustrować sytuację. Nie jest to notabene jedyny przypadek – z pewnością znajdzie się takich więcej. Jestem zdania, że nie powinniśmy do własnej historii podchodzić bezkrytycznie. Ale jestem też zdania, iż nie powinniśmy przesadzać w tej krytyce i nie kreować czarnego obrazu Polski w oczach innych i własnej nacji. Brnąć w zaparte, płynąc z nurtem krytyki naszej historii niedługo doszukamy się naprawdę paradoksalnych wydarzeń, które przeinterpretujemy na naszą, tak naprawdę, niekorzyść. Pozwólcie, że nie będę podawał przykładów takich twórców myśli nie chcąc podsuwać szkodliwych pomysłów.

Słuchając wypowiedzi takich autorów na pewno rodzą się w nas dylematy. Zgodnie z pewną zasadą, słysząc tysiąc razy rzecz nieprawdziwą zaczynamy w nią wierzyć. Jeżeli coraz więcej będzie takich wypowiedzi, coraz więcej tego typu tez czy hipotez, poczniemy się niebawem zatracać w naszym nawet „nowoczesnym” patriotyzmie. W tym wypadku moda, z którą obcujemy nie jest niczym pozytywnym, a raczej wzbudzającym uczucie zagrożenia.

Cóż bym tedy mógł radzić?

Moim zdaniem patriotyzm polski we współczesnym wydaniu nie jest wcale słaby. Wiele z nas wywiesza flagi na święta narodowe 3 maja bądź 11 listopada. To cieszy. Cieszy, lecz nie w pełni zadowala. Wielość nasza to tak naprawdę ozdoba, konieczność. W tym wypadku nie potrafimy się wszyscy dostatecznie zmobilizować i zmanifestować naszej dumy narodowej, dumy z bycia Polakiem. Nie jest to przecież zbyt skomplikowane – wywiesić flagę. Tym zaś, którym wywieszają, jako Polak, jestem wdzięczny i bardzo im za to dziękuję. Tych natomiast, którzy tego nie czynią, proszę by choćby w taki sposób poczuli się w obowiązku patriotów.

Paradoksalnie razi mnie też takie idealistyczne podejście do historii Polski (być może sam sobie teraz zaprzeczam w pewien sposób). Jest sporo takich osób, które nie przyjmują faktów z dobrodziejstwem inwentarza, a sami stwarzają sobie własny, idealny, nieskalany obraz Rzeczypospolitej Polskiej. Jest to może i piękne, ale podobno nadmiar piękna przeistacza się w brzydotę. Nie bójmy się spojrzeć prawdzie w oczy.

Nie bierzcie też, proszę, mojego przesłania zbyt dosłownie, gdyż jak wcześniej wspominałem, możecie się na siłę doszukać prawd, które prawdami nie są za nic w świecie, a prawdzie w pełni zaprzeczają.

Patrzę na tekst, który napisałem i jest to tekst jakby moralizatorski, może nawet za bardzo się tu wymądrzam oraz zanadto przypisuję sobie rolę przewodnika Narodu, wyznaczającego zasady. Nie. Nie wyznaczam zasad i nie pretenduję do roli przewodnika – te obowiązki zostawiam osobom kompetentnym. Uważałem, że obowiązkiem Polaka jest przedstawić swój pogląd na tę sprawę – wszakże jest to sprawa narodowa. Dlatego przelałem swoje poglądy i przemyślenia w tym temacie na papier tudzież dałem Czytelnikom do wglądu jako przedstawienie opinii jednego z Was oraz ewentualną pomoc w wypracowaniu własnego stanowiska.

Michał Zaćmiński



Nasz wilk

Zabrałem kiedyś swojego syna na zimowy spacer do lasu. Był to bardzo długi spacer. Kiedy zorientowaliśmy się, że musimy już wracać usłyszałem niedalekie jakby skamlenie zwierzęcia. W pierwszej chwili zamarłem z nagłego przerażenia. Potem, pchany nieco instynktem ciekawości, zacząłem zmierzać ku źródłu skamlenia. Patrzę po chwili, a przede mną, w śniegu, leży wilk, u którego spostrzegłem złamanie otwarte tylnej kończyny. Wilk patrzył na mnie wzrokiem błagalnym, przejmującym, ale też chciał dać mi do zrozumienia: „dam sobie radę”. Wiedziałem jednak, iż nie poradzi on sobie pozostawiony sam.

Wzruszyłem się na tyle, że zabrałem szybko syna, wróciliśmy do domu. Posłaliśmy do znajomego weterynarza, który na szczęście mieszka niedaleko. Już na samą wiadomość o wilku przeraził się bardziej niżli ja, ale dzielnie wytrwał w swej misji przezwyciężając strach. Uśpił on zwierzę i oboje zaniesiliśmy wilka do gabinetu weterynaryjnego.

Wykonał on wszystkie czynności konieczne do wykonania w przypadku złamania. Założył opatrunek i powiedział, że wilkiem trzeba będzie się opiekować przez najbliższy czas. Nie obyło się bez wątpliwości – wszak to dzikie zwierzę, na domiar drażliwe i nieufne człowiekowi. Nie wiadomo jak się zachowa, kiedy się ocknie. Może być przecież niebezpieczne i jest to wcale prawdopodobne. Patrząc jednakże na tego wilka, który drzemał nieświadomy myśli, które wokół niego krążą, zlitowałem się i podjąłem się tego zadania, tego ryzyka.

Był z nami już blisko dwa tygodnie. Leżał stale w ciepłym posłaniu, które urządziłem mu w kotłowni. Znosiłem mu mięso i wodę do picia. Był spokojny i raczej przestraszony niż agresywny czy skłonny do ataku. Zaczęliśmy go nawet nazywać pieszczołtliwie Azorkiem. Po pewnym czasie chciałem mu przekazać trochę człowieczego ciepła i dał się pogłaskać. Nie sprawiał żadnych problemów i cokolwiek się z nim zżyliśmy.

Niebawem zaczął wstawać. Doglądał go weterynarz. Mówił, że jego kroki będą jeszcze śmieszne i nieudolne, ale musi przecież na nowo nauczyć się chodzić. Chodził z początku niewiele. Z dnia na dzień jednak więcej się poruszał.

Stawał się także bardziej wilczy, bardziej swój. Coraz mocniej zaznaczała się jego zwierzęca, nieoswojona natura. Był coraz bardziej niezależny. Zaczynał też wyznaczać nam swoje warunki.

Zdjęliśmy mu opatrunek. Rana się ładnie zagoiła. Może kość była jeszcze trochę nienaturalna, lecz była przecież nie do końca wyleczona.

Pewnego razu, chyba po miesiącu z okładem, gdy mój syn wyręczał mnie w zaniesieniu Azorkowi jedzenia, wilk ugryzł go. Tak. Najwzyczajniej w świecie go ugryzł. Zrobił mu bardzo głęboką ranę. Mój syn cierpiał. I zastanawiałem się nawet, bardzo zresztą głupio i nieładnie, kogo jest mi bardziej żal – teraz syna czy wtedy wilka.

W pasji, w pierwszej chwili, gdy dowiedziałem się o tym, byłbym tego wilka bardzo chętnie zbił. Bo cóż innego przyszłoby na pierwszą myśl? Wziąłem nawet grubą różgę, która leżała gdzieś w podwórzu niedbale i wtargnąłem do kotłowni. Wilk spokojnie się obrócił w moim kierunku. Jego niebieskie oczy wilka patrzyły na mnie wzrokiem obłudnych przeprosin. Po chwili też dostrzegłem w jego wzroku tę niezależność. Dawał mi znać, że jestem nieproszonym gościem.

Zastanawiałem się, co uczynić. Głos ojcowski mówił mi – „wygoń wilka, daj mu już

wolność, przysłużyłeś się wystarczająco”. Ale czyż nie było w tym znamion zemsty? Z drugiej strony wilk był przecież niewyleczony do końca, potrzebował jeszcze rekonwalescencji.

Nie mogąc spać następnej nocy wyszedłem do kotłowni. Rozwarłem drzwi na oścież i stałem z szybkim i silnym biciem serca. Wilk leżał przez moment i patrzył mgliście nie wiedząc o co chodzi. Wstał. Uszedł kawałek dumnym krokiem, jakby spacerował, przystanął na progu. Począł patrzeć na mnie ponownie. Ja naówczas mówię do niego cicho i z pewną dozą strachu „No idź”. Napotkałem brak reakcji. Powtórzyłem to bardziej odważnie, zdecydowanie i kategorycznie. Wilk wtedy pobiegł daleko i zniknął w ciemnościach.

Taką miałem kiedyś historię. Jednak w każdym zwierzęciu jest element dzikości. Nie da się nigdy oswoić dzikiego stworzenia do końca. A mimowolnie przyszło mi takie skojarzenie myślowe, taki dylemat: „A czy w nas, ludziach, nie jestże tak samo?”

Michał Janiszewski



Iredyński redivivus

Minirenesans Iredyńskiego trwa. Po sukcesywnych edycjach, w ciągu kilku poprzednich lat, monografii o wybranych aspektach twórczości pisarza,¹ jego dzieł zebranych,² listów³ oraz zbioru dramatów,⁴ przyszedł czas na biografie twórcy. Książka Małgorzaty Raduchy, wydana tuż przed trzydziestą rocznicą śmierci Iredyńskiego, stanowi pierwszą w Polsce próbę monograficznego ujęcia dziejów życia pisarza.

Ireneusz Iredyński (1939-1985) zaczął karierę pisarską od tomików lirycznych, by z czasem dać się poznać jako utalentowany prozaik i płodny dramaturg. W tej właśnie ostatniej dziedzinie osiągnął też największą sławę, stając się z biegiem lat jednym z rzeczywistych filarów współczesnego dramatu polskiego, choć z powodzeniem sprawdzał się też jako scenarzysta i autor tekstów piosenek. Niezwykle wszechstronny i fantastycznie wręcz utalentowany, samouk bez matury, obdarzony za to zgoła kuglarską łatwością pisania, należał do najbardziej barwnych i kontrowersyjnych postaci polskiego życia literackiego kilku powojennych dekad. Potępiany w młodości przez komunistyczne

władze, a później tłumaczony i wystawiany także za granicą, zmarł mając ledwie 46 lat, wycieńczony alkoholowym nałogiem.

Małgorzata Raducha, która Iredyńskiemu poświęciła również swą pracę magisterską, oparła się w swoim przedsięwzięciu zarówno na ogólnie dostępnych źródłach prasowych czy książkowych, jak i na osobistych kontaktach z ludźmi swego czasu bliżej lub dalej związanymi z pisarzem. Dzięki znajomości z pasierbicą Iredyńskiego, uzyskała dostęp do wielu „nieoficjalnych” informacji m.in. o życiu rodzinnym twórcy. Wyraz tego odnajdujemy w tekście książki, przebogato ukształtowanym różnymi anegdotami i opowiastkami z życia Iredyńskiego. Sprawia to, że lektura tekstu przypomina niejednokrotnie – może nawet zbyt często – *chronique scandaleuse*, choć takie zabiegi Autorki można usprawiedliwić faktem, że jej intencją było zapewne niezafałszowane i w miarę możliwości plastyczne przedstawienie burzliwej i pełnej szaleńczych nieraz wybryków historii życia pisarza.

Kilka pierwszych stron książki, jako swiste preludeum, Autorka poświęca na skrócone nakreślenie sylwetki autora i okoliczności jego śmierci. Dalszy tekst jest już natomiast uporządkowany według chronologii życia jego bohatera. Małgorzata Raducha pokrótce wspomina zatem rodziców pisarza, miejsce jego urodzenia – Bochnię, po czym przystępuje do kreślenia kolejno następujących po sobie etapów biografii literata. Opisuje rzeczowo jego nieudaną edukację szkolną, zaczątki kariery literackiej i jej rozwój, pobyt w Krakowie, aż do ostatecznego osiedlenia się i życia w Warszawie. Gdy ustalenie jakiegoś faktu nie jest możliwe z całą pewnością, Autorka snuje wizje probabilistyczne, jak np. w przypadku okoliczności prawdopodobnej konwersji matki Ireneusza Iredyńskiego, Aleksandry, na katolicyzm (s. 13-14).

Małgorzata Raducha stara się zarazem odmalować dzieje życia Iredyńskiego na szerszym tle literackiej historii powojennej Polski, aczkolwiek w książce Autorki dominuje raczej „towarzyska” sfera tej historii, która nieraz „zacieśnia się w oparach alkoholu” (s. 50). Znajdziemy więc tutaj przebliski z kawiarniano-knajpianego życia twórców pokolenia „Współczesności”, szersze wspomnienia z pobytu Iredyńskiego w artystycznej „komunie” pod słynnym adresem Krupnicza 22 w Krakowie, a także np. krótki pasaż o Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, gdzie swego czasu nad kawą przesiadywali m.in. Iwaszkiewicz, Konwicki czy Wajda (s. 141).

Drobiazgowo (s. 98-129) omawia Autorka więzienny fragment życia Iredyńskiego. W grudniu 1965, niepokorny i permanentnie inwigilowany przez bezpiekę „niewygodny” pisarz, którego wczesną prozę zdezawuował na obradach XIII plenum KC PZPR sam Wiesław Gomułka, padł ofiarą prowokacji, w wyniku której oskarżono go o próbę gwałtu

na młodej kobiecie i skazano na 3 lata więzienia. Pisarz odsiadywał wyrok w znanym zakładzie penitencjarnym w Sztumie. Ta zgoła infernalne doświadczenie, przedstawione przez Autorkę w rozdziale *Zejście do piekła*, głęboko wstrząsnęło jego psychiką na resztę życia. Wprawdzie w więzieniu dawał sobie radę niezgorzej, pisał, a po wyjściu dość szybko stanął na nogi i wrócił do egzystencji literata, jednak kilka miesięcy po zakończeniu kary, przy wódce wyznał Zbigniewowi Jarzynie: „Wiesz co, nie lubię o tym mówić, ale ten Sztum to mnie przeorał na wskroś. Wszystko we mnie pozabijał...” (s. 93). Według Autorki, „Iredyński już wcześniej trzeźwo ocenił komunizm jako niezbyt różniący się od nazizmu i niemający wiele wspólnego z dobrem ludzkości, będący jedynie drogą do kariery i władzy” (s. 60). Doświadczenia więzienne zostały także przetworzone literacko w jego późniejszej twórczości.

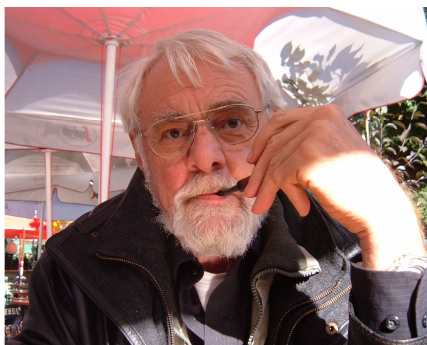
Sporo uwagi poświęca Małgorzata Raducha „związkom uczuciowym” pisarza, czyli historiom jego, zazwyczaj skomplikowanych, przyjaźni lub miłości z najważniejszymi w jego życiu kobietami: Maszą Kapelińską, Jadwigą Staniszkis, Anną Kaczanowską, Aliną Piechowską czy Teresą Świerzy, jego drugą żoną, z którą w ostatnich latach życia stworzył udany związek. Mieszkał wtedy w domu na warszawskich Grotach, ostatniej „przystani” w jego niedługim życiu. Jako twórca uznany i dość zamożny, posiadał też w owym czasie także domek letniskowy w Bredynkach na Warmii, ażył i odskocznię od intensywnego życia w stolicy.

Małgorzata Raducha prowadzi narrację interesująco, rzetelnie i roztropnie. Bardzo dobrze wypadają w książce elementy dokumentalne. Autorka przemysłanie i rozsądnie korzysta z materiałów źródłowych (zdjęcia, oficjalne dokumenty, pisma urzędowe itp.), cytowanych lub kopiowanych w tekście głównym lub poza nim, a pełniących wobec niego funkcję bądź to eksplikującą, bądź komplementarną, świetnie doinformując przez to czytelnika. Poza tym, w trakcie opowieści przytacza fragmenty z wywiadów pisarza, a także korzysta z pomocy „narratorów zastępczych”, cytując wspomnienia jego przyjaciół (Marek Nowakowski, Witold Migoń, Stanisław Brejdygant, Krzysztof Karasek i inni). Pojawiają się opinie Stanisława Lema i Sławomira Mrożka. Choć wyborowi źródeł, dokonane przez Autorkę, nie można generalnie wiele zarzucić, do kompletu w tej „paradzie wspomnień” nieco brakuje mi świetnego tekstu Marka Nowakowskiego *Śmierć*,⁵ spisane krótko po zgonie Iredyńskiego, jednego zresztą z lepszych przykładów krótkiej prozy autora *Powidoków*.

Małgorzata Raducha skupia swoją uwagę na kolejach losu i kolejnych życiowych „przystankach” Iredyńskiego, nie jest jej zamiarem szczegółowa analiza i interpretacja twórczości

(Dokończenie na stronie 20)

Zamyślenia



Uroki, gusta, fałszywe cuda

Szekspir w „Hamlecie” stwierdza: Są rzeczy, o których ani się śniło filozofom. W jakiejś mierze dotyczyć to może takich zjawisk, jak tajemnicza, magiczna, nadprzyrodzona siła, która od pewnego czasu zaległa się ponownie w kolorowych tygodnikach, a także w telewizji. Hipnotyzm i spirytyzm jak wiadomo dawno temu straciły na aktualności za przyczyną urzędowych przepisów zakazujących w różnych krajach tego rodzaju publicznych widowisk, z jakimi różnej maści zawodowi magnetyzerzy i hipnotyzerzy objeżdżali Europę.

Zdemaskowanie licznych, słynnych mediów spirytystycznych przyczyniło się do zdyskredytowania spirytyzmu w szerokich kołach. Oto czas, kiedy literatura tycząca tychże przedmiotów zdawała się zanikać za sprawą stanowiska naukowego, w naszych czasach zdaje się znów odradzać z tendencjami wzrastającymi. Wystarczy tylko wejść do pierwszej z brzegu księgarni, kupić kolorowy tygodnik, gdzie swojsko tylko brzmią nazwiska dziennikarzy pracujących pod obcą etykietą, wystarczy późną, nocną porą włączyć telewizor, aby dać się omamić tajemniczą różdżką hipnotyzmu tajemniczych wrózek i wróżbitów, jasnowidzów, numerologów, nie mówiąc już o tarocistach, karciarzach, przepowiadaczy z ręki i posiłkujących się wahadelkami. Nie za darmo oczywiście. Nimb tajemniczości wisi nad nami i nęci ludzką wyobraźnię. Tu odgradza się prawdę od fałszu. Wróżbita tylko prawdę Ci powie. Dawni hipnotyzerzy usypiali człowieka pociągnięciem ręki, prostym spojrzeniem w oczy lub rozkazem. I w tym śnie władali ludźmi jak automatem. Mogli znieczulać ból lub go zadawać. Wprowadzili w katalepsję i najdziwniejsze patologiczne stany. Władali ludzką duszą, narzucając myśli, żądze, widzenia, uczucia. Oto delikwent widzi osoby i rzeczy bardzo odległe. I więcej, bo oto owa czarodziejska władza sięga poza sny, kiedy to medium po jakimś czasie spełnia nieuchronnie i to w oznaczonej godzinie rozkazy otrzymane we śnie. Myśli i sądzi, że oto podąża za własnym popędem, będąc igraszką sugestii. Oto wpływając na myśli swych ofiar, hipnotyzer na wpływ na myśli medium, może ją nakłaniać do zbrodni, wzniecać namiętności i rozkazem ścigać istoty ludzkie gdzieś z oddali, zza morza. Brrr! Ktoś powie:

science-fiction, jakaś niewyobrażalna, mistyczna, nadnaturalna siła. Wiemy, że już w starym Egipcie zanoszono do świątyni bożka Serapisa i leżących na posadzce chorym za sprawą hipnozy, odsuwano od nich choroby. Grecy sprawowali głęboki sen u ludzi za pomocą kąpeli, namaszczeń, kadzenia.

U greckiego filozofa Platona możemy przeczytać: *Czy mam go może dotykać pociągnięciami, aby w sen popadł? A co można znaleźć u kapłanów chaldejskich, irańskich czy indyjskich w naukach ich fakirów (Yoga). To już historia, a przecież jest nasze dziś w tej mierze.*

I tu chciałbym zatrzymać się chwilę przy naszych politykach. Trudno wprawdzie zaliczyć ich do rasowych, dawnych hipnotyzerów, a przecież też mają coś w sobie z tych rzeczy. Z pewnością nigdy nie słyszeli o lekarzu wiedeńskim Mesmerze (1733-1815), wynalazcy magnetyzmu (działał na chorych magnesem), a stosując tę metodę w odniesieniu do nas, obywateli, od lat. Z tą tylko różnicą, że rezultatów ich leczenia jakoś nie było widać, przeciwnie, doprowadzili nasz kraj po dokładnej obserwacji zwanej audytem, do kompletnej ruiny i zapaści nie tylko na zdrowiu, ale i ekonomicznie, także i politycznie. Zasypani doświadczeniami, wszystkim politykom należy patrzeć na ręce zapobiegawczo, aby nie wprowadzali obywateli w trzy stany: kataleptyczny, letargiczny i somnambuliczny, nadając członkom naszego ciała w położeniu, które sobie obmyśli... indolencji i beżsiły.

Kazimierz Iwosse

Zawał

Orysz już dawno chorował na przepuklinę, której się nabawił podczas dźwigania ciężarów. Jeszcze parę lat temu potrafił wnieść po drabinie na strych pół metra zboża albo skrzynkę cebuli. A ile razy obracał tak w ciągu całego dnia! Szkoda mówić! Dzisiaj pewnie nie dałby rady. Ale kto tam wie? Jednak nie ryzykował. Od jakiegoś czasu ratował się szerokim skórzanym pasem, który stale nosił na sobie, na swoich biodrach, aby mu jelita nie wyszły na wierzch. Ale dłużej nie mógł z tym zwlekać. Bał się, że mu flaki wyjdą na wierzch, gdy będzie na polu. Wiedział, że wcześniej lub później czeka go operacja.

– Magda, niech twój chłop weźmie urlop i ci pomoże, a ja pójdę już do tego szpitala. Przez parę tygodni jakoś sobie beze mnie poradzicie. A jak pozszywają mi brzuch i nieco wydobrzeję, pewnie będę robił jak dawniej.

Wziął zakupioną niedawno piżamę, ręcznik, aparat do golenia, bo brzytwą już dawno przestał się golić, pędzel i mydło. Dał jeszcze Magdzie i Dorocie ostatnie polecenia i kazał zięciowi zawieźć się samochodem do Łęczycy.

– Masz tu trochę wędliny i placka – powiedziała Dorota, wkładając zawiniątko do torby.

– Nie trzeba mi tam żadnego wygód. Weź to jedzenie, bo jak mnie zabiorą na stół, to potem przez długi czas będę na diecie. Będą mnie

karmić kleikami i innymi świństwami. A po operacji przez kilka dni nawet wody nie będę mógł pić. Tak mi ktoś mówił.

Miał to być jego pierwszy od dwudziestu pięciu lat tak długi urlop i nieobecność w domu. Dlatego mocno się denerwował na myśl, że gospodarstwo pozostanie bez niego. „Bez gospodarza wszystko idzie na sernater”. Przypomniało mu się to, co mówił Jan: „Chłop odpocznie dopiero wtedy, gdy go włożą do trumny”. Tak było właśnie z nim, jakkolwiek jeszcze nie umierał, a tylko wybierał się do szpitala. Po kilku dniach obserwacji wzięto Orysza na stół operacyjny. Kiedy się obudził, zobaczył przed sobą kropłówkę.

– Co to jest? – zapytał zdziwiony, bo nigdy dotąd czegoś takiego nie widział.

– Tymi rureczkami otrzymuje pan to, co potrzebuje organizm.

– Niech pan uważa! Nie wolno panu zrobić żadnego gwałtownego ruchu. Jest pan pozszywany. Cokolwiek będzie trzeba, proszę wołać siostrę – wyjaśnił podczas obchodu młody lekarz.

To ciągle leżenie w łóżku nie było wcale lżejsze i łatwiejsze – jak się przekonał – od najcięższej roboty w gospodarstwie. Przyzwyczajony od rana do wieczora do nieustannej pracy, męczył się teraz niesamowicie, a ten pierwszy od ćwierćwiecza odpoczynek w szpitalu zdał mu się prawdziwą męką i katuszą. Ciągle myślał o tym, co się dzieje w domu, czy wszystko w polu zrobione, mleko odwiezione na czas, i czy zwierzęta domowe są należycie obrządzone. Niepokoił się tym bardziej, że jedna z krów miała się niebawem celić. A na Antka nie mógł w takich sprawach liczyć, zresztą na nikogo w domu. To była jego robota i dozór.

Leżał już w szpitalu dwa tygodnie i liczył, że niedługo go wypuszczą, bo operacja na przepuklinę na szczęście się udała. Zresztą co to teraz za operacja? Zwyczajny zabieg. Nic innego. Zaczął nawet planować, co będzie robił, gdy wróci do domu. A to trzeba naprawić dach na oborze, koryto w stajni, zakupić nawozy, by wzmocnić oziminy. Wiosną przydałby się też remont mieszkania i doprowadzenie do obór wody. „Ale czy na wszystko wystarczy pieniędzy?” Instynktownie złapał się za serce, bo coś go tam zabolowało i zakłuło w klatce i rozchodziło się aż po szyję. Przywykł do tego, bo powtarzało się to co jakiś czas. „Pewnie z nerwów” – pomyślał. Ale naraz zrobiło mu się dziwnie ciepło i słabo, jakby krew z niego odpływała.

– Siostro! – krzyknął sąsiad, który zauważył, że Orysz ma zamknięte oczy i zaczyna charczeć. Pielęgniarka natychmiast przybiegła, a za nią lekarz.

– Natychmiast podać tlen! – zawołał. – Szybko aparat. To zawał!

– Szybko, szybko!

– Jest, jest.

– Niestety, praca serca ustaje. To bardzo rozległy zawał.

Mirosław Osowski

Fragment powieści „Saga rodu Oryszów”, część 4: „Światło w mroku”.

Kozetka (11)



Amory, dzieciary i land art

„Cała sztuka jest erotyczna”.

Adolf Loos

Joanna Friedrich

Gdybym była rzeźbiarką, mój ogród wyglądałby jak „Chocolate Factory”, cały upstrzony monstrualnymi tęczowymi lizakami, cukierkami i strumykami białokawowej czekolady. Gdzieniedzie, na straży porządku, stałyby rzeźby pana Henyo-Penyo Myomyonmyo, gigantyczne japońskie lalki (widziano je już w Starym Browarze w Poznaniu).

Jeśli dodałabym, że chodzić można by nago, lub w symbolicznych skrawkach materiału, taki mini parczek rozrywki byłby możliwy tylko w USA, np. w Kalifornii, gdzie pełno jest sekt i poczynają sobie z wyjątkową swobodą w dziedzinie seksualności (choć w mediach, jak na fb, sutków nie uświadczysz).

Ponieważ jestem w Polsce, te miłe dla oka fantazje snuję tylko chwilowo, wręcz jednodniowo, z okazji Dnia Dziecka, nad poranną kawą i skradzioną dziecku czekoladką „Merci”.

Mam zwyczaj, nie tylko w dzień dziecka, ale 365 dni w roku, dzień zaczynać i kończyć czekoladką.

Mam jeszcze kilka karygodnych zwyczajów, godnych „dnia dziecka”, które u mnie

przeszły w całoroczną nawyk.

Wszystkie utrapienia i choroby leczę snem. Co znaczy: zasypiam jak dziecko w różnych miejscach, o wszystkich porach dnia. (Rzadziej w nocy.) Tylko nie za kierownicą. I w stałych pozycjach.

Resztę leczę sztuką i literaturą. Czasem sauną (polecam, pochodzącą z Japonii, infrared). Uwielbiam nagość w sztuce i wolność w literaturze. Jeśli chodzi o saunę, to lubię w niej rozmowy, chociaż nie bardzo wolno.

Wiosna-Lato to sezon „wyprowadzania” seksualności z „białej sali” i z domowego zacisza do ludzi.

To sztuka oswoiła na powrót i wypromowała erotykę.

To ona nas zwraca w kierunku natury.

Z przyjemnością, przy większej dozie samouwielbienia, mogłabym zostać przedstawicielką tzw. Land Artu, jak Christo i Jeanne Claude, którzy w 2005 roku z szafrowego materiału utworzyli sztuczną rzekę przepływającą przez Central Park w Nowym Jorku.

Żałuję też, że nie wpadłam przed Yoko Ono na pomysł rozprucia i rozdania swojej sukienki w postaci strzępków materiału.

Pocieszam się, że właściwie każdy, komu udało się zatrzymać dziecko w sobie, jest w jakimś stopniu, w dorosłym życiu, artystą.

Oznaki?: brak wstydu i strachu.

Właśnie spełniło się moje odwieczne marzenie i na urodziny dostałam szezlong. Mam już duże łóżko, mały stolik, pełną szafę i ten szezlong.

I drapię się po głowie, że byłam tak oszczędna w dziecięcych marzeniach...

Teraz pozostaje mi tylko zostać artystką. (Bo przecież nie dorosłą).



Słowa te zostały napisane na fali inspiracji pewnym eventem pt. Ambasada Inspiracji.

Nie załapałam się w tym roku, bo mam inne plany, ale w przyszłym roku, kto wie?

Generalnie, wszędzie jest tyle porad dotyczących każdej dziedziny życia, że można w nich utonąć. Pozwólcie więc, że pozostanę przy moich połowicznie abstrakcyjnych, lekko surrealnych refleksjach.

Już od jutra wydorosłeję.

Znajdę suknię idealną do noszenia na szezlongu i uprawiania amorów...

PS. Ponieważ blisko mam małe lotnisko i duże jezioro, ołśniło mnie: całkiem dwa nowe marzenia, to: samolocik Cesna i łódka z mini-sypialnią. Na jakiś czas mi wystarczy...



Olgerd Dziechciarz

Ojczyzna

ojczyzna wstała z bólem
głowy
miała kaca giganta
po imprezie w gronie
hałaśliwych patriotów

Wiersz w przerwie

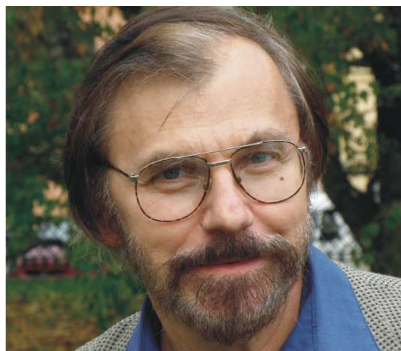
nie mam wam nic do powiedzenia
czy to jest powód
by siedzieć z zamkniętą gębą

któs powiedział
że gdyby ludzie mówili tylko to
co wiedzą
cisza byłaby nie do wytrzymania

niech chociaż gra telewizor

a po nas przyjdzie
czas
na reklamę

Listy do Pani A. (96)



Będę dywersantem!

Droga Pani!

Może jestem niesprawiedliwy, ale czuję się tak, jakbym żył w domu wariatów. Albo cwaniaków, którzy wariatów udają. Bo z jednej strony są takie świetne wydarzenia, jak urodzinowe spotkanie z Krystyną Gucewicz w „Hybrydach”. Tam zawsze panuje artystyczna atmosfera, słuchaliśmy śpiewu Danuty Stankiewicz, gratulowaliśmy Jubilatce dwóch najnowszych książek. Całusom i toastom nie było końca. Jakże dzisiaj rzadkie są podobne spotkania, zero agresji (czyt. polityki) – choć przecież wiadomo, że w środowisku artystycznym nie wszystko jest sielankowe, a fanatyków i zazdrośników nie brakuje. Wszystko zależy jednak od osoby, która potrafi nad wszystkim zapanować, nadać ton całości. A Krystyna Gucewicz świetnie to robi. Z pewnością jest wiele takich miejsc, ludzi, spotkań, i to napawa optymizmem. Ocala się w ten sposób dawne życie artystyczne.

Z drugiej strony smutne w tym wszystkim jest to, że trzeba coś „ocalać”; zwłaszcza w dziedzinie kultury, tak dziś zaniedbanej, zapoznanej, niszczonej niczym za najostrzejszej okupacji. Likwiduje się placówki kultury, ostatnio słyszałem o zagrożeniu Teatru Żydowskiego, który ma zostać wyrzucony ze swojej siedziby. Ważniejszy jest developer, który w tym miejscu chce coś budować, a władzom miasta zależy wyłącznie na kasie. Słusznie, bo z czego podwyższy się poselskie diety? Przecież ci biedacy umrą z głodu pod mostami Warszawy! Zamkną teatry, zagazowac emerytów, byle tylko pasyżnicze środowiska polityków miały się dobrze i dalej mogły żerować na trupie kultury i całego państwa.

Może jestem „niepoprawny politycznie”, ale piszę teraz o pasożytach rodzimych, co jakby mnie trochę „usprawiedliwiało”... Rąbanie łodzi, na której się płynie przez morze, sprzedawanie wszystkiego, złodziejstwo połączone z dyletantyzmem, zwykła głupota i niedorozwój umysłowy, to polska specjalność, zwłaszcza ostatnich czasów. Kretynów zawsze było więcej niż normalnych, więc to kretyni głównie rzucają się w oczy. Tacy jak ten, który z samochodu wypuścił psy na autostradzie powodując wypadek przejeżdżającego auta i nieprawdopodobne zamieszanie. Gnoj odjechał spokojnie zabierając psy, a grozi mu zaledwie mandat, zamiast surowa kara za spowodowanie katastrofy w ruchu lądowym. Wszędzie mamy idiotów, a także psychicznie chore prawo. Wystarczy też przejrzeć komentarze na facebooku. Pretensje, że poszkodowany kierowca hamował, więc to jego wina, a nie tego idioty. Tymczasem trzy czwarte tych „komentujących” ludzików powinno znaleźć się w domach bez klamek (i komputerów). Jeśli Pani nie wierzy, to

proszę przeszedź facebookowe wpisy.

Dla takich właśnie obniża się poziom kabaretów, literatury, nawet teatrów, bo przecież trzeba schlebiać najniższemu gustom bezzmysłnej publiczki. Wystarczy, że dwóch zderzy się tyłkami, zrobi minę, ktoś inny się przewróci, a publiczność ryczy ze śmiechu. I wcale nie o ten śmiech tu chodzi, tylko o pieniądze z biletów. Zamiast więc podciągać tzw. masy, obniża się wszystko do ich poziomu. Matka komercja...

Tak się znowu rozzłościłem, nakrzytykowałem, ale mam chyba rację. Dla uspokojenia nerwów chciałbym pójść z Panią do kabaretu, który byłby na poziomie „Dudka”, „Słarszych Panów”, wczesnego „Pod egidą”, STS, „Piwnicy pod Baranami”, „Siedem Kotów”... Dokąd mogę dziś Panią zaprosić? Wszystko na jedną modłę w stylu amerykańskim, aby tylko rozbawić stado matolów na widowni. Wychodzi jeden cham i tłucze przez godzinę świniekie dowcipy. Żadnych wartości artystycznych, dobrych piosenek, literackiego humoru. Tak trzymać!

Są to zjawiska od dawna znane, wręcz banalne. Nie pisałbym o tym, gdyby nie opowiadano wszędzie bzdur, że władze tak dbają o rozwój kultury, zależy im na pogłębianiu intelektualnym społeczeństwa, na jego wychowaniu. Już kiedyś cyniczny facecik powiedział, że głupi naród wszystko kupi. Takim decydem to pieniądze najbardziej zależą na głupcach, zaś tych którzy chcą podnosić kulturę, sztukę, naukę zaczynają oni uważać za element destrukcyjny, za dywersantów. To bardzo dobrze. Będę dywersantem! Nie podkładał bomb, nie wysadzam pociągów, nie ładuję nikogo na dziurawą barki, niech więc moja działalność literacko-kulturalna okaże się bardziej niebezpieczna. Ale o wodzowie, powodowani poprawnością polityczną, nie mówcie o mnie złego słowa! Jak sprawiedliwość to sprawiedliwość, jak tolerancja to... mnie powieście.

Jednak nie da się zadekretować kultury, chociaż można na jej poziom wpływać. Tylko kto ma to robić? Czasami wpływ miała opinia publiczna. W czasie okupacji mówiono „tylko świnie siedzą w kinie”. Teraz można głośno krzyknąć: „tylko dziwki korzystają z taniej rozrywki”.

I znowu kontrast. Byłem na giełdzie książki w Miejskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu. Ludzi dużo, wszyscy autentycznie zainteresowani książkami wystawionymi do sprzedaży za jedne trzy złote, bez względu na objętość i tematykę. Powieści, tomy wierszy, pozycje naukowe, techniczne, historyczne... Zauważyłem, że zainteresowaniem cieszyła się prawdziwa literatura, zaś grafomańskie powieści dla pisane przez kobiety dla kobiecików były odkładane na bok. Nie mam nic przeciwko takiej literaturze, bo uważam, że czytanie czegokolwiek jest pożyteczniejsze od oglądania byle czego. Tutaj odniosłem wrażenie, że jednak giełdę odwiedziło więcej intelektualistów. Każdemu według potrzeb. Powie mi Pani, że sobie przeczę? Nie. Chodzi mi tylko o proporcje.

A tymczasem niespodzianka. Oto Anna Maria Musz napisała książkę o mnie. Jest tam obszerna i anegdotycznie ujęta biografia, szczegółowa i bardzo trafna analiza moich wszystkich dotychczasowych tomów oraz wywiad-rzeka, który autorka przeprowadziła ze mną. Anna Maria – okazało się – jest nie tylko świetną poetką, ale także krytykiem literackim. Ma nieprawdopodobną intuicję, która gwarantuje trafność wszystkich interpretacji. Wydał tę książkę Staszek Nyczej w serii „Portrety Literackie”. Zamieścił w niej również wkładki ze zdjęciami. Tytuł całości brzmi „Poeta i przestrzeń”. Też bardzo trafny, bo u mnie jest dużo przestrzeni, która

czasem się kurczy, a niekiedy rozrasta. Pulsuje. Mam nadzieję, że Pani to kiedyś przeczyta i obejrzy zdjęcia – rodzinne, z mojego dzieciństwa, a także współczesne z okresu mojej działalności literackiej.

A moja działalność literacka – jak Pani wie – objawiała się w różnych kierunkach. I teraz nic się nie zmieniło, bo fizycznie czuję się dobrze, chociaż powolutku z aktywności zaczynam zmierzać w kierunku gawędziarstwa... Mam na myśli nasze wierszowane zabawy z Janem Stanisławem Kiczorem. Poeci zaprzyjaźnieni ze sobą nigdy się nie nudzą, bo potrafią patrzeć na rzeczywistość z dystansem (to nic, że zrzędują) i bawić się słowem. To wszystko jest bardzo prywatne, ale w ten sposób powstawały też literackie teksty kabaretowe. My sobie robimy to na własny użytek. Choć Leszek Żuliński nie bezpodstawnie zażartował, że powinniśmy napisać więcej i wydać. To jest myśl! Teraz różne rzeczy się wydaje. Kiedy więc Jan Stanisław napisał mi „Życzenia bez okazji (?)”:

*Zadбай o siebie (ciut za mało pijesz)
zwłaszcza w kompanii doborowych druhów,
świat dookoła kurczy się i wije
głowa do góry - nie słuchaj eunuchów.*

...natychmiast odpisałem mu w tej samej poetyce, a nawet przywołując słowa użyte przez niego:

Janowi Stanisławowi K. w odpowiedzi

*I Tobie życzyć by się rozprostował
Twój świat skurczony. I niech zeszytnieje
aby się nie wił, nigdy nie chorował
nawet gdy wódka całkiem go zaleje*

Po krótkiej chwili Jan Stanisław odpisał:

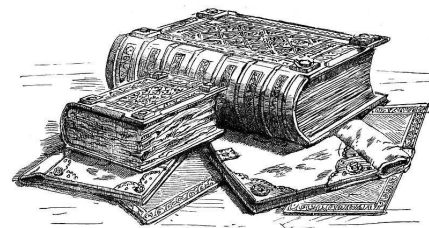
*Lecz wcale się nie dziwię (tu nutka zazdrości)
Że wolisz pięściocy całkiem inną krasę,
Sam bym też od gorzały i tataru pościł
Czas większy poświęcając nadobnym „frykasom”*

To są tylko fragmenty wierszyków pisanych przez nas dla obopólnej zabawy, lecz mających podteksty czytelne tylko dla nas. Nie będę Pani wnie wtajemniczał, zwłaszcza publicznie. Ale może to i Panią wprawi w lepszy nastrój. To takie zadośćuczynienie za moje „czarnowidztwo”. Tak naprawdę więcej mnie śmiesz niż rzeczywiście przejmuję. Niech zginie świat, byle w zabawny sposób!

Lubimy takie gry literackie. Jan Stanisław uprawia je również ze Zdzisławem Antolskim, poetą obdarzonym także nietuzinkowym poczuciem humoru i wrażliwością językową.

Zaraz jadę do Staszowa na literacki plener organizowany corocznie przez Staszka Nyczaja. W następnym liście wszystko Pani opiszę dokumentnie. A teraz życzę dobrej pogody wakacyjnej, zewnętrznej i wewnętrznej! Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia.

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



„Urzyg” ...

Jakub Kornhauser został laureatem Nagrody im. Wisławy Szymborskiej. Za „Drożdżownię”, trzeci tom w swoim dorobku. Osobiście uważam, że twórczość poetycka krakowskiego poety nie jest czymś poruszającym, nie pozwalającym nie sypiać po nocach, wyzwalającą dreszcze na ciele czytelnika... Ale nie jest to twórczość na tyle zła, żeby mówić o niej jako o czym skłaniającym do „urzygu”... Więc czemu o tym pisać? Bo zdaniem pravicowych dziennikarzy ta nagroda nie jest za poezję, ale za wywiad w „Dużym Formacie”, w którym poeta skrytykował swojego szwagra – prezydenta Andrzeja Dudę. A według pewnego publicysty „wPolityce.pl” Kornhauser miał nawet opowiedzieć o swoich poglądach dla pieniędzy. Podobno...

Andrzej Dębkowski

Jak czytamy w protokole jury wydawcy zgłosili do konkursu 211 tomów, a poza laureatem, 32-letnim poetą, tłumaczem, literaturoznawcą, wykładowcą, redaktorem „Literatury na Świecie” i Wydawnictwa UJ do nagrody nominowani byli także: Edward Pasewicz, Marta Podgórnica, Joanna Roszak i Marcin Świetlicki.

W uzasadnieniu nominacji dla Kornhausera jurorzy napisali: *Za pomocą statycznych opisów (...) przedstawia świat pełen niepokoju, jakby przed katastrofą. Zwykle czynności, przedmioty, znaczenia ujęte są w pełen dramatyzmu obrazek, który tylko pozornie wydaje się spójny.* Z kolei juror Marian Stala powiedział, że *Jakub Kornhauser wydał bardzo dojrzały tom w trudnej poetyce poematu prozą. Pisz*

zdaniem opisującymi, które w pewnej chwili zaczynają kreować rzeczywistość nadrealną, pozwalają łączyć ze sobą mówienie o teraźniejszości i przeszłości, jawie i śnie.

Przeczytałem tę książkę i myślę, że słowa Stali są trochę na wyrost, ale rzeczywiście do dzisiaj nie wiem tak naprawdę czy można ją zaliczyć do poezji? Dla mnie to bardzo ciekawa proza. Ale jak to mówią: widocznie to jury dostrzegło takie, a nie inne walory książki.

Skąd więc tyle kontrowersji wokół Kornhausera-juniora?

Przyznanie Nagrody im. Szymborskiej Kornhauserowi nie wzbudziłoby takich emocji, gdyby nie związki rodzinne laureata – który jest bratem prezydentowej Agaty Kornhauser-Dudy i synem poety Juliana Kornhausera, jednego z najważniejszych przedstawicieli Nowej Fali lat 70... No i oczywiście to, co chyba najważniejsze: gdyby nie wywiad w „Dużym Formacie”, magazynie „Wyborczej”, jaki ukazał się kilka dni wcześniej przed przyznaniem nagrody.

Co też takiego poeta-laureat mówi w tym wywiadzie, że pravicowi dziennikarze i publicyści rzucili się na niego, niczym sfera wygłodniałych psów na pęta kielbasy? To, że dość odważnie mówił i swoim szwagrze, prezydencie Andrzeju Dudzie: *Jestem rozczarowany jego prezydenturą. Uważałem, że to jest samodzielny, racjonalnie myślący człowiek. Poglądy ma konserwatywne, ale nie zamordystyczne, wydawał mi się zawsze przedstawicielem katolicyzmu otwartego. Sądziłem, że będzie w stanie jako prezydent, który ma poważną legitymację społeczną, postawić na swoim. Ale z drugiej strony szczerze mu współczuję, bo widzę, jak on się męczy. Mam wrażenie, że został ubrany w buty, w których nie chciał się znaleźć.*

Tutaj akurat nie zgadzam się, że nasz prezydent nie wiedział w jakie buty wchodzi, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że bez solidnego poparcia PiS, nie mógłby nawet pomyśleć o rejestracji swojego komitetu wyborczego, a co dopiero o zostaniu głową 40-milionowego państwa.

Dalej Kornhauser mówi: (...) *to, co robi PiS z Trybunałem Konstytucyjnym, to łamanie konstytucji. To jest dla mnie jasne i przeciw temu protestuję. Nie zdziwię się, jeśli prezydent Duda stanie za to przed Trybunałem Stanu.*

Niestety, niektórzy publicyści odebrali to jako atak na głowę państwa i dali temu upust na różnych forach internetowych. Powiedzieli wprost, że Kornhauser otrzymał nagrodę nie za poezję, ale za krytykę Dudy na łamach „Dużego Formatu”. Przemysleniami na ten temat na Twitterze podzielił się m.in.: Rafał Ziemkiewicz, Samuel Pereira, Marcin Makowski z „Do Rzeczy”, czy Stanisław Janecki. Przytoczę tylko kilka, co ciekawszych głosów.

Popis oratorski rodem z rynsztoku wygłosił Rafał Ziemkiewicz: *Jakub Kornhauser z nagrodą Szymborskiej. Pierwsza nagroda poetycka za wywiad. Ależ to wszystko do*

urzygu słabe i przewidywalne.

Samuel Pereira pyta nieco zdziwiony: *Jakub Kornhauser. Dziś każdy może sobie odpowiedzieć na pytanie: czy też za nagrodę im. Szymborskiej zaatakowałby swoją rodzinę w GW?*

Z kolei Stanisław Janecki poucza niczym wyrocznia: *Szwagier Kornhauser – nagroda Szymborskiej, Rzepliński – doktorat honoris causa w Niemczech. Wystarczy słusznie poszukać. Żenada totalna. Zapomniał tylko o jednym, że takim rodzajem dyskusji sam szczeka, tylko w innej sforze.*

Niejaki Marcin Makowski, młodziak, dywaguje: *Tyle lat za młodu (sic!) wiersze pisałem, dwa tomy wydałem, a wystarczył wywiad w „Wyborczej”.*

A Piotr Skwieciński: *Przyznanie Nagrody Szymborskiej dostrzega nie w usługowym jury, ale w samym poecie, że usłudze skrytykował szwagra – co jest przekroczeniem pewnych niepisanych, ale wyczuwalnych granic – żeby otrzymać 100 tysięcy złotych. To wyjątkowa podła opinia publicysty.*

W podobnym tonie wypowiada się inny tuz publicystki – Paweł Lisicki w „Do Rzeczy”. Twierdzi on, że *rozmowa z Kornhauserem w nieocenionej „Gazecie Wyborczej jest efektem gorączkowego poszukiwania właściwie dobranych autorytetów przez media należące do właściwego i słusznego, to jest antypisowskiego, obozu. Niestety, Lisicki zapomniał, że i on należy do właściwego i słusznego, to jest propisowskiego obozu, więc jakże mógł powiedzieć cokolwiek innego. Przecież niedawno otrzymana posadka w radiowej „Trójce” do czegoś zobowiązuje.*

Cała ta sytuacja z nagrodą i to, co nastąpiło później tak naprawdę pokazuje, jacy jesteśmy małostkowi, jacy zawistni, podli, a nawet chamscy. Naprawdę nie rozumiem ludzi. Nie wiem, czy młody Kornhauser, sprzedał się „Wyborczej”, dla sławy, nagrody, czy Bóg wie czego, ale znam pozostałe nominowane książki do tegorocznej Nagrody Szymborskiej i tom Kornhausera nie jest gorszy. Mało kto zastanawia się jak bardzo trzeba się spodlić, żeby w ten sposób zareagować na tę decyzję jury. Ziemkiewicz się *urzygał*, nie po raz pierwszy, więc przypuszczam, że ma wielkie problemy z refluksiem żołądka. Może pora udać się właściwego specjalisty? Czy dla krótkiej sławy, owego zaistnienia w mediach na parę chwil, pogłaskania i poklepania po ramieniu przez prezesa ci dziennikarze gotowi są na tak wiele? Czy naprawdę wszystko musi być na sprzedaż? A z drugiej strony może rzeczywiście młody Kornhauser zrobił to z wyrachowania? Tyle pytań i tyle wątpliwości...

Ale przecież przypadek Kornhausera nie jest czymś wyjątkowym. Przecież w tym samym czasie ogłoszono laureata Nagrody im. Lecha Kaczyńskiego.

(Dokończenie na stronie 24)

Józef Baran

Spadając, patrząc w gwiazdy (4)

(fragmenty)



Wszczęświat i mrowisko

A skoro jesteśmy przy filozofii...

Spotkanie po długim czasie z filozofem, religioznawcą i jedną z najbarwniejszych postaci, jakie poznałem w życiu – profesorem Włodkiem Pawluczukiem.

Jak zwykle, rozmawiając z nim, mam wrażenie, że jest teraz nie w kawiarni Dworku Białoprądnickiego, lecz na Drodze Mlecznej, w dalekich przestworzach, kędy przemyka się zawinięty w kokon rozmyśla o sprawach, w których będąc znakomitym specjalistą, nigdy nie będzie ekspertem ostatecznym. Bo kowal, który zna się na przybijaniu podków koniom, oraz informatyk zajmujący się komputerem, a więc mający wycinek zainteresowań stąd-tąd, owszem, mogą być w swojej dziedzinie ekspertami doskonałymi, Pawluczuk zaś, który – jak mawiał Białoszewski – „tołkuje się” rozmyślaniami na temat początku i końca świata – wszedł w nieskończoną przestrzeń, której Gospodarzem i Ekspertem jest tylko Pan Bóg. Jeśli Pan Bóg „Jest”, bo Włodek, choć deklaruje się jako wierzący – oczywiście nie na sposób katechetyczny – twierdzi, że Boga, w ludzkim rozumieniu, „nie ma”. Istnieje po bosku, czyli jak mówili niektórzy wielcy mistycy – jako pustka, jako próżnia, jako Nicość, w każdym razie nie tak jak my i Wszczęświat, lecz gdzieś poza sferą ludzką, poza sferą materialną.

Więc powtarzam pytanie: jak Pawluczuk, mistrz nawet najbardziej wymyślnych paradoksów, może ogarnąć i przeniknąć umysł Boga, skoro ma tylko 75 lat, a Bóg liczy sobie biliony? tryliony? kwantyliony?... co ja mówię... jest nieogarniony czasem i przestrzenią? Zresztą i Wszczęświat bardzo trudno ogarnąć umysłem, bo to prastwór liczący sobie podobno 15 miliardów lat i trzeba by owe 15 miliardów odwiać wstecz jak taśmę czy

czarodziejski dywan, ażeby zrekonstruować historię początku, co też niektórzy naukowcy czynią, w tym także filozof Pawluczuk siłujący się niczym mrówka z umysłem Boga i Wszczęświata, a więc z problemami, które go przerastają, bo przerastają każdego człowieka. Pisząc swoje książki, stara się wyjaśnić, co wyjaśnić się nie da, a nawet ma pewne osiągnięcia w tej dziedzinie, to znaczy jest jednym z głębszych umysłów kosmogonicznych w Polsce...

Ostatnio w Białymstoku, gdzie mieszka na osiedlu profesorskim, dyskutował z fizykiem właśnie o Wszczęświecie. Zapytał go mniej więcej tak: – Jak wiesz, Hawking zajmuje się w swoich dziełach pierwszymi piętnastoma sekundami Wielkiego Wybuchu, czyli powstaniem Wszczęświata. Ale ja pytam ciebie – jako fizyka – co było przed owymi piętnastoma sekundami, czy istniały przed Wszczęświatem prawa fizyki, a więc czy istniał jakiś precyzyjny plan wybuchu? Przecież doskonale wiesz, że Wielki Wybuch mógł dać rezultaty, jakie dał, tylko pod warunkiem że przebiegnie tak, jak przebiegał, precyzyjnie, ze wszystkimi parametrami i szczegółami. Gdyby wybuch nie przebiegał wedle precyzyjnie obmyślonych etapów, gdyby owe etapy i parametry wybuchu były ciut-ciut inne, odrobinę mniejsze, odrobinę większe, czyli gdyby tym wybuchem nie kierowała jakaś precyzyjna, genialna, bo chyba nie ślepa siła wynikająca z praw fizyki – Wszczęświat by się roztrzaskał jeszcze przed narodzeniem i rozwojem...

Następnie Włodek przeszedł w rozmowie do mrowiska. Kopiec mrowiska usypany w lesie przez dzielny naród małych niestrudzonych mrówczych pracowników jest słusznie nazywany przez architektów arcydziełem architektury.

Skomplikowany system labiryntów, nisz, korytarzy, mostków, przejazdów, chodników i pięt usypanego kopca wskazywały na to, że prace nad nim nadzorował jakiś mrówczy inżynier, realizujący swój plan zgodnie z określonym planem budowy, rozdzielający prace między pracowników i doglądający każdego szczegółu. W jaki więc sposób mrówki porozumiewają się ze sobą i gdzie wśród nich znajduje się naczelny architekt? O nikim takim badacze mrówek nie wiedzą. Nie ma naczelnego architekta, nie ma śladu planu – a mrówczy kopiec stoi!

Podobnie ze Wszczęświatem, który genialnie zdarzył się i istnieje, choć nic nie wiemy o Sprawcy tego genialnego Przypadku...

Filozof żeni się z księżniczką Rwandy

Włodek nie zawsze zajmował się tylko sprawami ostatecznymi, ale także sprawami doczesnymi: ot, choćby podróżami do fantastycznie odległych, egzotycznych krajów

(Etiopia, wyspy Solówki, Grenlandia) w poszukiwaniu kamienia filozoficznego, badaniem smaku dobrych trunków czy po prostu odszyfrowywaniem piękna zaklętego w kobietach, z których niektóre też żywo interesowały się barwnym umysłem – a od umysłu do ciała niedaleko – Filozofa.

Ostatnia z tej serii fantastycznych przygód profesora zdarzyła się parę lat temu w rodzinnym mieście wojewódzkim Białymstoku, gdzie Pawluczuk oprócz tego, że jest postacią pomnikową, mieszka naprawdę, bo przeprowadził się do córki i wnuka z Krakowa po przejściu na profesorską emeryturę.

Pewnego razu wypatrzył mianowicie, że stary sklepikarz z sąsiedniej ulicy więzi „w lochach” willi piękną czarną dziewczynę, która okazała się jego... żoną. Od słowa do słowa, od rozmowy do rozmowy i Włodek dowiedział się, skąd w Białymstoku pojawiła się „księżniczka” z Rwandy. Podobno sklepikarz był zawołanym pszczelarzem. W związku z tym wyjechał z Caritasem do Afryki, aby nieść pomoc biedakom w kraju ogarniętym pożogą wojny domowej. Na czym miała polegać jego pomoc? Wymyślono, że będzie uczył Rwandyjczyków mordujących się nawzajem szlachetnej sztuki pszczelarstwa, co powinno ich odciągnąć od mordu.

Z edukacji pszczelej niewiele wyszło, za to udało mu się wreszcie znaleźć żonę z jakiegoś wysokiego rodu, co w czasie wojny w tym kraju nie miało dużego znaczenia, którą zakupił za śmieszłą kwotę i przywiózł do Polski. Tutaj porozumienie okazało się jednak trudniejsze, niż sobie wyobrażał, tym bardziej że prawie nie mówił po angielsku, a dziewczyna wzbudzała na ulicach niezdrowe zainteresowanie podrostków, dlatego jej sędziwy i dość szpetnie wyglądający mąż zaczął odczuwać coraz większy dyskomfort sytuacyjny. Kiedy filozof wzruszony i przejęty losem dziewczyny zażartował przy kieliszku, że odkupi ją i ożeni się z nią, bo „chwilowo jest wolny”, żart – o dziwo – został potraktowany na serio. W dwa dni później sąsiad się zjawił, oświadczając, że przystaje na propozycję profesora. Wstępne oględziny i rozmowa profesora z „księżniczką” wypadły korzystnie dla obojga stron; przypadli sobie bowiem nawzajem do gustu.

Pierwotny właściciel zażądał 3 tysięcy złotych, zwrotu biletu za samolot z Afryki i... honorowego napiwku.

Jak się bawić, to się bawić... Transakcja i ceremonia weselna, usankcjonowana toastem, miała się odbyć następnego dnia w domu przyszłego pana młodego.

Przy stole rodzinnym w mieszkaniu Pawluczuka zebrała się rodzina i paru znajomych, czyli goście weselni, którzy uznali, że profesor zwariował, ale czekali z ciekawością na dalszy rozwój wypadków. Najbardziej podniecony zjściem okazał się wnuk, który zacierał ręce, że będzie się mógł pochwalić w szkole, iż jego dziadek, ajajaj!, ożenił się z Czarną...

Poeta wraca do korzeni

Szósty tomik wierszy **Szczęsnego Wrońskiego** nosi tytuł „Czas rozpocząć”. Wydaje się, że stanowi on kolejny przełom i powrót do korzeni własnej twórczości poetyckiej. Na wstępie warto zwrócić uwagę na wiersz otwierający go pt. „Gdybym”, który stanowi formę najnowszego eksperymentalizmu poety, a w którym pisze m.in.: „gdybym był ptakiem / skrzydła włókiłbym po ziemi / co za stereotyp „fruwający w przestworzach” // gdybym był gadem / wspinałbym się szczyty / po co miałby ktoś deptać moją płaską głowę // gdybym był trawką / skreśliłbym słowo „jarać” / zachęcałbym do tańca wokół kopki siana // gdybym był drzewem / ściałbym się na papier / po co głupio szumieć jak można krzepić serca // gdybym był wódką / zmieniłbym się w konwalię / i posiadałbym elektorat rozważanych tłumów / gdybym był ogniem / zgaszyłbym natychmiast / niech zatęsknią do światła pławiący się w ciemności // gdybym był strumieniem / wycofałbym się w góry / niech tropią mnie po śladach świeżości spragnieni // A gdyby jedyna skała / roztrzaskałbym się w piasek / niech wszystkie dziwki czasu wyją za opoką”.

Warto ten wiersz było przytoczyć w całości, bo to przecież znakomita inwokacja do naszej współczesności, której nie powstydzilyby się wszystkie tuzy naszej poezji. To niewątpliwie wiersz bardzo odważny, zaświadcza o intelektualnej przenikliwości poety, który był zrozumiał nasz czas wraz z ich wszechogarniającą – nadaną i solidarną głupotą. Osobiście zaczynam się bać o los Wrońskiego, bo przecież „oni nie wiedzą, co czynią” i pewnie nigdy się nie dowiedzą, bo i po co?, a więc los poety może znaleźć się na cenzurowanym.

W kolejnych wierszach poeta wciela się w ducha instynktów różnych ras psów, począwszy od kundelka, który w imię własnej wolności „spokojnie obsikuje róg starej kamienicy (...) / o jak strzyże uszami / jak roztropnie stawia łapki” – dziwi się z pobłażaniem. Wrońskiemu wyda się, że nawet mądrzejszy jest od Szekspira, bo jakoś wie, że świat leży już na grzbiecie i warczy: „love not warrrrrr / love! love! love!”

Londyńskie metro przypomina autorowi „żywe cmentarzysko”, nad którym kołują ptaki i czuć tam „piekielny swąd wołania o wolność”. Ma ogromne pretensje do „Biura Ochrony Nieba”, że nie informuje ludzi jakie to plagi i epidemie naszej cywilizacji toczą jego ciało. Wchodzi w niebyt „Trybunału Współczesnej Demagogii” i odziera ją ze skóry, by się przekonać, że wewnątrz niej jest zupełnie nic, którego skórą gardzi nawet domowy pies. Jako człowiek w tej perspektywie nie czuje się lepszy od psa, motyla, bole-

jąc, że trzy nasze uniwersalia (prawda, dobro, piękno) zostały dzisiaj rozdzielone, odcinając ducha ludzkiego od jego źródeł, co niewątpliwie pachnie farmakologicznym ludożerstwem. U podstaw tych głębokich przekształceń naszego świata odkrywa świat esemów latających „jak osy w buszu koło uszu”, sprwadzający tajemnicze wieczności do teraźniejszości krwi i plastiku. Czuje, że jego byt poety został przedłużony w świat wirtualny przez interfejs człowiek-komputer, a z artysty refleksyjnego stał się jedynie kłusownikiem umykających z prędkością światła znaczeń, za którymi może jedynie hejtować. Zastanawia się czy i jego poezja została podporządkowana efektem stroboskopowym, wydobywając z pamięci obraz ojca łowiącego ryby w realnym świecie. Wroński w konsekwencji własnych doświadczeń artystycznych świetnie uchwycił prawdę o przemianie pokoleniowej światów poetów, a w wierszu pt. „Dwaj poeci” tak to trafnie ukazał: „młody poeta podejrzewa że coś w tym jest / stary stoi na brzegu zarzuca pytajnik // – może złowisz rybę, która cię wyciągnie”.

Nic dodać, nic ująć, bo znów trafiamy w podglebie wszelkiej inspiracji poetyckiej, dotykamy jej prapoczątku, o którym tak wymownie pisali Friedrich Hölderlin, Georg Trakl, ale i Cyprian K. Norwid, czy Bolesław Leśmian.

Wroński wydobywa z pamięci doświadczenia handlowo-konsumpcyjne swego kolegi Józefa Toborowicza, tak oto kontestuje to wydarzenie, pisząc, że „człowiek jest kłębkiem zwierzęcych instynktów”, ogołocony tą kulturą „konsumpcyjnej rzeźni”, o której kiedyś dosadnie, choć w innym ustroju, pisał o tym również Tadeusz Śliwiak, choć bardziej dramatycznie. Borykając się z poezją poddawana reżimowi hipertekstu, pisze sobie: „Motto: „boje się / by nie zdeptać mrówki // a Ty? Czy myślisz o mnie / Boże”.

Wroński formułuje 7 pytań, posiłkując się sceptyczną izostenią sądów i do końca nie wiek jak współczesny mu świat odpowie na nie, choć mają wręcz antyczną genezę. Obsiewa z uporem maniaka świat tonami ziaren pytajników i słyszy zewsząd tyrady „nie nie nie”. Bojaźń i drżenie nawet w kontaktach z najbliższymi staje się dla poety nie do zniesienia, bo ciągle symulują je nasze codzienne interakcje, a pod ręką nie ma przysłowiowego kija, by pogonić „Strach”. Wszechogarniające zdziwienie naszego świata oddaje decyzję do dyspozycji o nas owemu „Nikt”, które ciągle podkręca tempo naszej mobilności, a nasz świat powoli mrówczej i nie można w nim ani chcieć, ani móc. Symboliczna mysz zagnieżdża się nawet w duszy poety, a kursor życia staje się zupełnie rozbiegany, natomiast członkowi takiego społeczeństwa pozostało jedynie – wymownie „stękać”.

Można przypuszczać, że Wroński już wie, iż żyje w świecie symulowanych konturów, kluczy żurawi na niebie, tych na ekranach i w świecie rzeczywistym, ale obawia się rewolucji

w swym życiu, gdybając co by się stało, gdyby jego pies przegryzł łącza komputerowe: czy świat by się też skończył? Sprawdza więc intymne odruchy własnego bytu, przespjuje w ciszy imiona swych bliskich kobiet, rozbija na frazy swe imię, by się przekonać jak dźwięczą, i która z nich w tym hybrydalnym świecie pytając i „jakując” jego istnienie, jest najbardziej obiecująca: daje nadzieję na „szczęście Szczęsnego” w „buto-nierce”. Tak zdekonstruowany człowiek-poeta-Wroński dochodzi jednak do wniosku, mając na uwadze nawet własną samokrytykę, że „czas rozpocząć” wszystko od początku – tego antycznego *arché*, o którego pytanie rozpoczęło pochod naszego człowieczeństwa – owej jego *humanitas*, która dzisiaj potrzebuje kolejnego i o wiele głębszego intelektualnego resetu! Nie jest tajemnicą, że nawiązuje tutaj Wroński do ducha poezji Allana Ginsberga i jego poematu „Skowyt”, z którego stylem poezji jest głęboko związany. Warto zatem sięgnąć po ten tomik, by przypomnieć sobie te zbuntowane klimaty amerykańskich „bitników”, ale i ich polską wersję.

prof. Ignacy S. Fiut

Szczęśny Wroński, „Czas rozpocząć”. Posłowie: Marcin Kania. Wydawnictwo i Drukarnia Tercja, Kraków 2015, s. 52.

Tragedia Zdzisława Beksińskiego

Miał wszystko co artysta może mieć: sławę, pieniądze, zasłużone, dobre miejsce w wielkiej encyklopedii PWN. Dzisiaj miałby osiemdziesiąt siedem lat. Był malarzem, fotografikiem, rzeźbiarzem, a z wykształcenia architektem. Poradził z Sanoka, mieszkał w stolicy, został zamordowany w swym warszawskim mieszkaniu. Nie pomogły specjalne zabezpieczenia. Zanim dopełniła się tragedia, zmarła żona i syn Beksińskiego. W swym dzienniku artysta zapisał w roku 1999: *Bardzo powoli dochodzi do mej świadomości to, że jestem już całkiem sam. (...) Dla kogo robić wszystkie inne notatki. Dla kogo wreszcie malować? Wszystkich nie żal, a siebie najbardziej. Czy w ogóle istnieje klucz otwierający drzwi do obszaru prawdy? Nie można uważać, że Bóg na nas się uwziął. Ja mam najgrubszą skórę i ja zostałem na deser. Boję się cholernie przyszłości, ale wiem, że ją udźwignę. Oczywiście mogliśmy wszyscy żyć jak szczęśliwa rodzina.*

(Dokończenie na stronie 18)

Tragedia Zdzisława Beksińskiego

(Dokończenie ze strony 17)

Beksiński był współczesnym Hiobem. O jego życiu opowiada serdecznie Wiesław Banach, z którym rozmawia Jarosław Mikołaj Skoczeń i mamy to utrwalone w książce „Beksiński – dzień po dniu kończącego się życia”. Jest tam również istotna dla nas wszystkich informacja, że jedynym spadkobiercą Zdzisława Beksińskiego jest Muzeum Historyczne w Sanoku.

Emil Biela

„Beksiński – dzień po dniu kończącego się życia”. Wydawnictwo MD, Warszawa 2016, s. 447.

Przerazająca książka

„Biografie odtajnione” Joanny Siedleckiej to książka, która swoją treścią działa jak wstrząs elektryczny. Sama autorka charakteryzuje ją następująco: *Nie może się podobać – ma przeszkadzać, poruszać, przerażać*. I faktycznie przeraża! Dramatyczne losy pisarzy najwyższej rangi, takich jak: Gombrowicz, Broniewski czy Andrzejewski budzą u czytelnika gniew spotęgowany faktem degrengolady moralnej tajnych służb PRL-owskich tajnych współpracowników.

Prawda dokumentów odkłamuje wiele fałszów, mechanizmy wielu karier, promocji jednych, eliminowania drugich, pozwala zajrzeć za kurtynę naszego życia literackiego i kulturalnego, którego nie sposób zrozumieć bez wciąż mało znanych faktów o roli tajnych służb. Długa jest lista pisarzy, którzy dobrownie stali się TW czyli tajnymi współpracownikami SB.

Dokumenty Służby Bezpieczeństwa są wielkim archiwum fotograficznym. W PRL pisarzom nie tylko kontrolowano korespondencję, nie tylko ich inwigilowano, podsłuchiowano, ale też filowano i fotografowano.

Krzysztof Masłoń pisze, że wymowa faktów zebranych w „Biografiach odtajnionych” jest porażająca. Nawet dla osób, które nie kierują się złudzeniami w ocenie PRL-u prawda bijąca z kart książki Joanny Siedleckiej może być trudna do przyjęcia. Siedlecka nie stosuje taryfy ulgowej. „Celnie strzela” w życiorysy Czeszki i Zawieyskiego. Nie kryje np. homoseksualnych skłonności niektórych

twórców z górnej półki.

Znany był kiedyś głupawy dowcip o najweselej baraku w socjalistycznym obozie, jakim rzekomo była Polska Ludowa. Owszem, był to sympatyczny kraj dla wszystkich TW i ich mocodawców z ulicy Rakowieckiej – pointuje Krzysztof Masłoń.

Leszek Żuliński napisał na swoim blogu: *Zawód agenta jest tak samo stary, jak zawód kurwy i jego nagłe demonizowanie, to po prostu akt zbiorowej hipokryzji*.

Emil Biela

Joanna Siedlecka, „Biografie odtajnione. Z archiwów literackich bezpieki”. Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2015, s. 428.

Paweł Kuzora – poeta zadziorny

Ruchliwość intelektualna, diapazon emocji i niestosowności wyrazów składają się na momenty poezji **Pawła Kuzory** przyciągające ciekawość zawartością jego oryginalnego dyskursu poetyckiego. Mowa tu będzie o tomiku pt. „Chłopak z Knataka. Wybór wierszy”. Czytamy w nim, że „to, że jestem to przypadek / widocznie jako plemnik / lubilem się dużo ruszać”, co chyba autorowi zostało we krwi do dzisiaj. Co gorsza, a nie wiem czy jest tego świadomy, że w tej twórczości widać jak na dłoni elementy myśli racjonalizmu nowożytnego, którą prezentowali: Kartezjusz, Błażej Pascal i Gottfried Leibniz, ale o tym później.

Podskórnie, w każdym z utworów poety doświadcza się pewnej mobilności jego myśli, wyrażającej się w lęku przed fałszywymi dźwiękami „naszych kłamstw”, wkomponowywanych mimowolnie w reguły życia społecznego. Poeta ceni bowiem miłość splątującą dwojga ludzi w „warkocz życia”, choć sam nie rozumie i nie ogarnia emocjonalnie tego uczucia, podobnie jak faktu bezpowrotnej śmierci. Wydaje mu się, że nigdy nie wyrósł z pieleszy dzieciństwa i ciągle wspomina smak „truskawkowej czekolady”. Być może dlatego ciągle jest „głodny na życie”, a nawet na jego formy z przed-wieków, by np. ucztować w wyobraźni z rycerzami i damami dworu.

Ciągle pozostaje w zadziornym sporze z matką przyrodą i własną naturą, by się przekonywać, że „miłość jest w nas, jest prawdą”. Pomimo tego sztuka miłości nawet do Boga, pozostającej na zewnątrz jego głębi duchowej. Boskość – jakby ją nazwać – kojarzy mu się z ciszą. Kuzora nie ma wątpliwości co do istoty władzy świeckiej pociągającej zawsze za sobą niesprawiedliwość, a więc nieobca jest mu idea mesjanizmu, a wierszu pt. „Kropla” otwarcie deklaruje: „kiedy jestem silniejszy od

grzechu / zdejmuję z Jezusa krople cierpienia”.

Marzy więc o niebiańskim telefonie, bo obecność Boga w codzienność ludzi go drażni i wolałby z nim osobiście się kontaktować, co wynika z jego wnikliwej obserwacji życia, a w wierszu pt. „Psie pieniądze” pisze: „Bóg jest obecny / chociaż nigdzie niewidoczny // (...) bo komu by się chciało / biegać z krzyżem pod górę // przecież prościej powiedzieć – / jestem tylko człowiekiem”. Przeprowadza dość heretycki dowód na istnienie Boga, prawie jak w „zakładzie Pascala”, w którym konkluduje: „(...) Bóg naprawdę kochał człowieka / skoro dał to wszystko nawet idiotcie”.

Nie trudno zauważyć, że we wszystkich wierszach podejmujących kwestię miłości poeta systematycznie powątpiewa w nią, ale podobnie jak Kartezjusz przekonuje się, że to wątplenie w miłość jest właśnie nią sama. Może więc śmiało powiedzieć, że „kocham, więc jestem”.

W miłości dla Kuzory najważniejszy jest dotyk, podobnie jak u dziecka, ale i niedosyt, kaprys i nieprzewidywalność życia pod jej egidą. Dlatego uważa siebie za „bosego „mordercę butów” w pogoni za tym, co kocha: co przenika świat. Podkreśla, że Polska do dziwny kraj, który może oczyścić z głupoty tylko Herkules, którego tu ciągle brakuje, ale nie proponuje za Fryderykiem Nietschem hodowli rodzimego „nadczołwieka”. Lubi upijać się miłością jak piwem, którego zawsze mu brakuje, a w związku z tym nawet Adam Mickiewicz na Rynku Głównym często dostaje nerwicy, kiedy musi oglądać jego miłosnego kaca i woli sphywać jesienna ulewą. W wierszu „Bo” poeta zdradza własną dialektykę miłości oto tak: „Wszystko co jest na świecie rodzi miłość. Bo / miłość rodzi miłość, bo człowiek pragnie nieba. Bo / we dwoje łatwiej się okłamywać. Bo dotykam ciebie, / tak jak słońce dotyka horyzontu”.

Miłość dla poety przypomina również „grę w klasy” między kochankami i musi być zawsze o sumie niezerowej. Czas i przemijanie Kuzora widzi z perspektywy „kurzej stopki” w kącikach oczu. Stapiając się z upływem czasu w swym jednostkowym istnieniu ogląda pustkę, czyli – jak pisze – „prawdziwe rzeczy w życiu”. Doświadczenie to powoduje, że z lubością „zanurza się w ogniu życia”, którego paliwem jest ta wszechogarniająca miłość. Ciągle jest jej ciekaw i chętnie poszedłby z nią „na chatę”. Lubi również grzeszyć, choć boi się wtedy własnego cienia, a więc nieustannie spowiada się miarą wersu z własnych skłonności i słabości, które jednak hartują jego siły duchowe i cielesne. W wierszu pt. „Korzenie” dostarcza dowodu na własną wręcz dziecięcą przewrotność, kiedy pisze: „kiedy byłem chłopcem / wspinałem się na drzewa / jak najwyżej do ostatniego / gniazda dalej byłeś już / tylko ty i tak jak w raju / dałeś mi kobietę / ona też jest drzewem / kocham ją aż do korzeni”.

Oglądając człowieka przez pryzmat wła-

snego doświadczenia egzystencjalnego i z pewnym dystansem, poeta widzi go jako ową monadę Leibniza, która nie ma okien, ale wejść do niej można przez większą monadę, a może „monadę monad”, szczególnie w połączeniu z kobietą, co musi zawsze rodzić niekończącą się chuć życia i pochwałę owoców miłości. Grzebiąc się w „bujnych trawach pościeli” prawie jak dewotka oznajmia, że: „leżę w jego cieniu / wsłuchany w muzykę rzeki / wiem że Bóg istnieje / nawet jeśli go nie ma”.

Poeta nie ukrywa, że jego patronem artystycznym jest Rafał Wojaczek, a w wierszu pt. „Na dobrą okazję”, jemu zadedykowanym, oznajmia: „jeśli ptak może żyć w klatce / rozkoszować się smakiem ziaren / picciem wody dziobaniem piór / to możliwe jest bym rozlał / krew do butelki / zaniósł do piwnicy i czekał / na dobra okazję”. A więc poczekajmy z nim, poczytajmy jego wiersze – może i my spróbujemy tego trunku – bo poeta konsekwentnie zaprasza na emocjonalną ucztę z zakąsek słów.

Niewątpliwie tego typu poezja, którą przedstawia krakowski poeta, jest w dużej mierze społecznie zaangażowana, a autor z otwartą przyłbicą protestuje przeciw duchowemu ubóstwu ludzi czasów współczesny. Przypomina im tę prawdę emocjonalną, którą rządzi się rozum, że uczucie miłości było, jest i pewnie będzie owym aksjomatem naszego bytowania w świecie, o które sami musimy się zatroszczyć. W końcu nie można zapomnieć owej rzymskiej maksymy: *Vox populi, vox dei*.

prof. Ignacy S. Fiut

Paweł Kuzora, „Chłopak z Kantaka. Wybór wierszy”. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2015, s. 84.

Wpływ księżyca

Mirosław G. Majewski urodził się w roku 1961 w woj. gdańskim; mieszka w Olkuszu. W 1996 zadebiutował poezjami w „Wiadomościach Kulturalnych”.

Kilka słów prawdy zasłyszanych od Leszka Żulińskiego, krytyka, pisarza i prozaika, odkrywcę talentu i wieloletniego, życzliwego promotora spowodowało, że Mirosław G. Majewski zwrócił się w kierunku prozy. A było to dobre, jak powiada Pismo.

Autor pracował jako robotnik w fabrykach i na budowach, był przedsiębiorcą, pocztynionem i agentem ubezpieczeniowym. Za chlebem, Panie, za chlebem ruszył w stronę Anglii, Austrii, Grecji, Niemiec i Norwegii. Dziś, odcinając kupony od sukcesów ekonomicznych, ma lukratywną posadę obserwatora monitorów czyli jest dozorcą.

W roku Pańskim 2009, z chwilą ukazania się książki pt. „Performance”, objawił się Polsce nie byle jaki talent literacki. Mirosław Grzegorz Majewski, pisarz zamieszkujący urokliwy Olkusz, nie zachłysnął się swoim pierwszym dzieckiem i na laurach nie spoczął. W roku 2015 hojnym gestem podarował Czytelnikom kolejną książkę pt. „Asymetria albo galimatiasy podświadomości”, *continuum* poprzedniczki. I wreszcie, niczym *deus ex machina*, w 2016 kompiluje z tych dwu wydanych – tom jeden, oheblowany, uzupełniony, oszlifowany do perfekcji, pod lunatyczną nazwą „Wpływ Księżyca”.

Nie mam zwyczaju jak czynią rozliczni – streszczać książek, nie wiem, co autor „chciał powiedzieć.” Prawdę mówiąc – guzik mnie to obchodzi. Pisać a czytać – trzy różne sprawy: percepcji, oczekiwani i słynnego na cały świat i pół Kanady – *de gustibus non disputandum est*. Wiem natomiast, czy proza którą dane mi było poznać, grafomanią jest lub trąci, czy na przyzwoitym poziomie spisana czy też – prawie doskonała. Prawie, albowiem nie ma książek w pełni doskonałych; każdą można napisać lepiej.

Nieczęsto bywam na tak zwanych „wieczorkach literackich”, zniechęcony postawą Czytelników, zazwyczaj totumfaktich Autora, objawiających bezkrytyczne *Och!* i *Ach!* dla twórczości beneficjenta spotkania. Czego by nie ponawypisywał – pochwałą, polukrują i wręczając kwiaty, po tyłku poklepią. A częściej kopnąć weń powinni.

Więc nienachalnym gościem będąc na literackich chrzcinach, nie kierując się zbieżnością nazwisk ni sympatią, którą żywię do Autora, jęcząc z bólu pojechałem do olkuskiej Galerii BWA, posadowionej na pięknym ryneczku. Galeria – istny cud a jej Gospodarz, także literat, Olgerd Dziechciarz, zna rzemiosło Gospodarza. Cześć Mu i chwała za tamten dzień!

Dlaczego pojechałem? Aby powiedzieć Uczestnikom, że dobry Pan uczynił dla nich cud rzadkiej wody – objawił im Wielkie Pióro. I to gdzie zrodzone? Nie w Warszawie, Krakowie czy Lublinie, lecz – za sprawą Mirosława Grzegorza Majewskiego – w prowincjonalnym, ślicznym miasteczku Olkusz. Ślicznym lecz prowincjonalnym. Jak „mój” Miechów.

Pojechałem, żeby najdobitniej przekazać, kogo mają. I co się wydarzyło tam, u nich, gdzie nie święci garnki lepią. Żeby uczcili i pojęli, co się stało pod ich nosem. Bo choć „prowincja to śmierć” jak powiedział Gustaw Holoubek w „Szpitalu Przemienienia”, to jednak TA prowincja jest od dziś zaczynem kulturowej metropolii. Czy władze Olkusza docenią i pojmą ten fakt? Nie sędzę. Po cholerę docenią i pojmować kogoś, z kogo profi-tów politycznych nie ma?

Powiedzą jacyś durnie, że kadzę, oj kadzę niemilosiernie temu Majewskiemu Mirosławowi G., dodając: A jaki on ma w tym chwa-

leniu interes? A co on tak za nim obstaje? A może on żydomason albo pederasta i złodziej jaki? Bo przecie ja Dehnele, Toruńczyki i młodego Kornhausera wysławiać winienem, a ze starych żyjących tylko Rymkiewicza i Zagajewskiego, zaś pośmiertnie – Szymborską, Miłosza i Barańczaka.

Ale znający mnie wiedzą, że ja stryjowi, bratu ni rodzonej matce, gdyby parali się piórem a poronili grafomańskie teksty, nie tylko nie powiedziałbym komplementu a pohańbił werbalnie. Choć matka jest tylko jedna. Sztuka nie uznaje kompromisu. Ja też nie. Sztuka to pokora. I z pokorą trzeba przy-jąć, że się napisało byleco, jeśli się napisało byleco.

Pojechałem więc do Olkusza, bo uprzednio przez dni kilkoro czytałem „na okrągło” owe książki Majewskiego. Trzy dni szukałem dla ich stylu i formy, odniesień w dziełach innych wyrobników pióra. Jak Karol Linneusz, chciałem je przyporządkować za pomocą systematyki literackiej do istniejących gatunków prozy, bo wtedy łatwiej... Ale nie ma łatwo, nie znalazłem!

Twórczość Majewskiego wymyka się gatunkowej szuflandii a „Wpływ Księżyca” może się kojarzyć z czym chce. Jak prawie każda książka o polskich Żydach kojarzy się natychmiast z klimatami twórczości Isaaca Bashevisa Singera albo Brunona Schulza a powieści Stanisławy Fleszarowej-Muskat – z Mniszchówną, autorką „Trędownatej”, jeno bardziej nowoczesną z języka.

„Wpływ Księżyca” kojarzcie z czym i z kim zechcecie. Z „Rękopisem znalezionym w Saragossie” Potockiego, z „Budowniczym ruin” Rosendorfera, „Jesienią w Pekinie” Viana, „Zamkiem Fortynbrasa” Suáreza. Z książkami Cortazara, Mrożka i Witkatego. Bo dobra proza kojarzyć się może z inną, tylko dobrą prozą. Albowiem wielkość napisanego dzieła poznamy po tym, iż prezentując nam treść dowolną, nowym stylem i formą nową przedstawia prastare dziedzictwo całej ludzkości, zapisane w literaturze. I nasze zauroczenie tym, co w książkach dawniej czytanych pokochaliśmy a dziś inny autor nam te uczucia przypominając – wzmacnia tęsknotę za piórem prawie doskonałym, za ulotnym pragnieniem rozumienia, co też takiego ma w sobie Słowo pisane...

„Wpływ Księżyca” nie jest „podobny do”, nie jest „jak”. To endemiczna księga, której bohater, niejaki Makary będąc Everymanem, jest Mirosławem Grzegorzem Majewskim. Oraz Tobą, Czytelniku i mną. Refleksja, humor, nieco surrealizmu, doza tragikomedii i komediodramatu. Wszystko tam jest, wystarczy zasiąść i przeczytać. I zastanowić się ex post. Bo też jest nad czym.

Żałuję, iż nie ma już z nami śp. Marka Nowakowskiego, Tadeusza Konwickiego, Mariana Brandysa i paru innych. Ucieszyliby

(Dokończenie na stronie 20)

Wpływ księżyca

(Dokończenie ze strony 19)

się, że oto zasiadł do ich stołu ktoś godny tego, by z nimi zasiąść. Czy mam prawo tak pisać?

Dane mi było w moim szczęsnym życiu uściskać dłonie aż trzech literackich Noblistów. A żaden nie był Polakiem. Dane mi było pić okowitę z pisarzami polskimi i zachodnimi o tak wielkim dorobku i nazwiskach, że strach się bać. Po co ja o tym? Albowiem do elity polskich Wielkich pisarzy, dołączył ktoś z młodszego pokolenia. Mirosław Grzegorz Majewski.

Wiem, co napisałem – zapamiętajcie!

Sławomir Majewski



Wołyński nekrolog

Kresy to ziemia bliska sercu każdego Polaka. Lwów, Podole, Wołyń, Huculszczyzna... to tereny niezwykłe, których dzieje spisane są polską krwią. Książka Feliksa Trusiewicza pt. „Duszohubka” jest dokumentalną opowieścią o północnym Wołyniu, a ściśle o regionie leżącym między Styrem i Horyniem.

Głównym celem autora, pięknie spełnionym, jest przybliżenie czytelnikowi obrazu życia ludności polskiej na tych terenach w okresie międzywojennym oraz totalnej pacyfikacji osiedli polskich przez nacjonalistyczne bandy UPA w czasie ostatniej wojny – jednego z najbardziej przejmujących dramatów w dziejach kresowej ludności polskiej. Niejednokrotnie czytelnik podczas lektury ociera

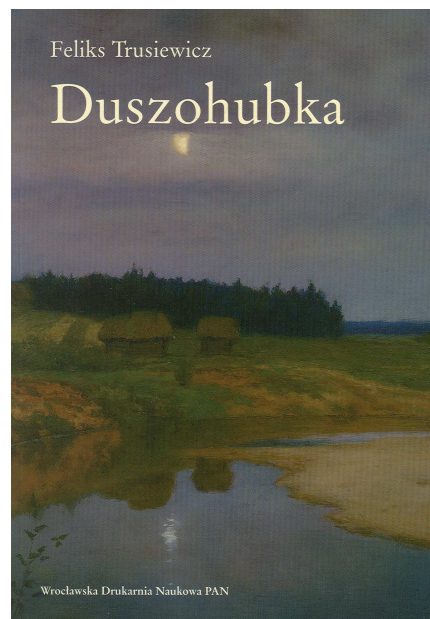
łzy...

Książkę Jerzego Trusiewicza można postawić obok „Pożogi” Zofi Kossak-Szczuckiej czy „Mistycznych Kresów” Jędrzeja Majki.

Tytuł opowieści Trusiewicza „Duszohubka” zaczerpnięty został z ludowej nazwy łódki, wydłubanej w pniu drzewa, używanej przez rybaków Polesia i północnego Wołynia. Była to łódka bardzo wyrotna i niebezpieczna. Jest jakby symbolem Wołynia – ziemi niespokojnej i burzliwej.

Jeżeli czytelnik „Duszohubki” zauważy akcenty emocjonalne niektórych fragmentów opowieści, to nie zostały one wprowadzone do uzyskania specjalnego efektu – są to autentyczne odczucia autora, który jak wielu synów tej pięknej, utraconej ziemi, pamięta bogatą, bujną jej naturę, kwitnące tam niegdyś życie wielonarodowościowego społeczeństwa i jego harmonijne współzycie w okresie międzywojnia. Szkoda, że musi teraz napisać tylko współczujący nekrolog. Uczynił to doskonale.

Emil Biela



Feliks Trusiewicz, „Duszohubka”. Wydawnictwo „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec-Ostroróg 2016, s. 263.

Iredyński redivivus

(Dokończenie ze strony 11)

pisarza. Te pojawiają się w książce Autorki jedynie mimochodem, niejako przy okazji omawiania historii losów twórcy. O ile jednak znajdujemy pokrótce wspomniane juvenilia autora (liryka, powieść kryminalna *Ryba płynie za mordercą*, krótkie powieści *Dzień*

oszusta i *Ukryty w słońcu*), a także ostatnią powieść *Manipulacja*, to pewnym przeoczeniem wydaje się całkowite pominięcie w tekście najobszerniejszego i prawdopodobnie najlepszego utworu prozatorskiego Iredyńskiego *Człowiek epoki* (1971, kilkakrotnie wznawiany), niewymienionego w pracy Raduchy w żadnym kontekście. Zapobiec takiemu niedoborowi mogłoby m.in. umieszczenie w książce kalendarium, w którym znalazłoby się miejsce na chronologiczne zestawienie, oprócz faktów z życia, także przynajmniej wszystkich najważniejszych utworów pisarza.

Autorka stara się natomiast przedstawić kilka przykładów odbicia się w twórczości pisarza poszczególnych wydarzeń z jego życia. Dość interesującym i spójnym z koncepcją książki zabiegiem wydaje się też zamieszczenie w ostatnim rozdziale kilku fragmentów przekrojowych recenzji, podsumowujących twórczość Iredyńskiego. Czytelnika może to z powodzeniem zachęcić do indywidualnych eksploracji i głębszego zapoznania się z utworami pisarza. W tym kontekście godną uwagi sugestią wydaje się też jednak umieszczenie, oprócz wspomnianego kalendarium, dodatkowej bibliografii, w której znalazłoby się najważniejsze recenzje prasowe i prace badawcze dotyczące pisarstwa Iredyńskiego, a także dane bibliograficzne jego utworów i ich wydania zbiorowego, też przecież wzmiankowanego w tekście książki.

Autorka konsekwentnie wykorzystuje przypisy w ich podstawowej funkcji, dokumentując za ich pomocą własne wywody. Wartym rozważenia zabiegiem wydaje mi się jednak pewne rozszerzenie takiej formuły i przeniesienie do przypisów również części niektórych drobnych uwag z tekstu głównego, które w przypisach mogłyby zostać nawet bardziej rozbudowane, natomiast w trakcie snucia głównej narracji niekiedy „zgrzytają”, niepotrzebnie zakłócając jej płynność. Przykładem niech będzie krótka wzmianka ze strony 156, o zorganizowanym w 2014 roku, w rocznicę śmierci pisarza, spotkania w Bibliotece Miejskiej w Biskupcu.

W tekście książki zostało przeoczonych kilka drobnych błędów językowych, np. na stronie 96 w osiemnastej linijce od góry słowo 'pomieści' powinno brzmieć 'pomieścić', natomiast na stronie 139 w siódmej linijce od góry wyraz 'były' powinien brzmieć 'był'. Dość nieprzekonująco i jednak pochopnie wypada też zakończenie książki:

Wydobywając na światło dzienne te strzępy pamięci, fragmenty wspomnień i recenzji należałoby zadać pytanie: dlaczego twórczość Ireneusza Iredyńskiego jest dziś tak rzadko przypominana? Czy początek XXI wieku to już wyłącznie era Doroty Masłowskiej i Tadeusza Słobodzianka? Czy całe pokolenie „Współczesności” jest dziś ramotą? [...] A szkoda. Nikt tak jak Iredyński nie pisał,

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codzienności (117)



Wielkie przeobrażenia w życiu społeczeństw wiązały się w dziejach zawsze ze zmierzaniem ku realizacji ideałów, by wymienić jako przykład wolność, równość, braterstwo, patriotyzm. Są one przedmiotem dociekań filozofii o charakterze maksymalistycznym. Filozofia minimalistyczna – by powołać przykład szkoły lwowsko-warszawskiej – ruguje problematykę wartości z obszaru dociekań. Ogranicza znaczenie filozofii do syntetyzowania wyników nauk szczegółowych. Stoi na stanowisku, że filozofia nie ma dla siebie – jako przedmiotu dociekań – żadnego wycinka rzeczywistości. Innymi słowy filozofia minimalistyczna kwestionuje zarówno możliwość naukowych dociekań na temat wartości, jak i pojęcie istoty rzeczy.

Zachodzi różnica między społeczeństwem empirycznym, czyli takim, które faktycznie istnieje oraz społeczeństwem jakim ono być powinno, czyli społeczeństwem na miarę tęsknot człowieka. To rozdziarcie między tym, co jest a tym, co być powinno zachodzi również w wymiarze jednostkowym i staje się siłą skłaniającą do czynu, by zmniejszać odrębność między światem, który jest i światem, który być powinien. Świadomość tego dualizmu uzyskuje się dzięki filozofii. Akcentuje tę rozbieżność także filozofia codzienności.

Rozdzielenie przez Kanta – za Arystotelesem – sfery rozumu teoretycznego i sfery rozumu praktycznego, doprowadziło w konsekwencji neokantystów do rozróżnienia społeczeństwa empirycznego, o którym już wspominałam, oraz społeczeństwa jakim ono być powinno z punktu widzenia dziś żyjących w nim jednostek.

Kant wykazał, że ograniczone możliwości poznawcze człowieka prowadzą do tego, że nie możemy poznać rzeczy samych w sobie. Ale pozostają możliwości leżące po stronie rozumu praktycznego, mimo ograniczeń poznawczych rozumu teoretycznego. Rozum praktyczny wskazuje ideały do których mają dążyć kolejne pokolenia, mimo niepoznawalności świata jakim on jest sam w sobie. Ten pogląd Kanta prowadzi w konsekwencji do tworzenia się wspólnoty ludzi zmierzających do wyższych wartości, co wyprowadza nas ponad poziom zwierzęcej egzystencji.

Filozofia jest wiedzą naukową przynoszą-

cą głębsze poznanie świata i człowieka niż nauki pozostałe, czyli szczegółowe. Polska filozofia narodowa, mesjaniczna XIX i XX wieku wskazywała, że filozofia ma również znaczenie praktyczne jako przewodniczka życia narodów. By zrozumieć głębiej, dzięki filozofii skąd i dokąd zmierzamy, należałoby, moim zdaniem, w większym stopniu odwoływać się w Europie do intuicji, czyli poznania bezpośredniego; poznanie rozumowe to poznanie pośrednie, poprzez pojęcia. Intuicja jest warunkiem rozkwitu, na przykład, dociekań z zakresu filozofii dziejów i nie jest przypadkowe, że ten dział filozofii, nazywany inaczej historiozofią, uprawiają na równi z filozofami niektórzy poeci i pisarze, by wymienić Lwa Tołstoja, Jana Kasprzowicza, Tomasza Manna, czy Teodora Parnickiego. Ażeby przewidywać przyszłe losy ludzkości, nie wystarczy osiągnąć wiedzę z zakresu filozofii. Niezbędna jest wrażliwość, wyobraźnia oraz intuicja. Otóż tymi właściwościami obdarzeni są wielcy pisarze i poeci i dlatego uprawnione są ich dociekania na temat losów ludzkości.

Wiedza filozoficzna wymaga nie tylko przemyśleń, ale i dyskusji o czym wiedział już Sokrates. Z tego powodu organizuję przez wiele lat ogólnopolskie lub międzynarodowe konferencje międzyśrodowiskowe. Umożliwiają one inspirującą wymianę myśli i stają się źródłem pogłębionej samowiedzy. Ma to istotne znaczenie nie tylko z powodu marginalizowania filozofii w warunkach liberalizmu ekonomicznego, ale także z powodu amerykańskiej sposobu myślenia w Europie. Polscy mesjanisci oczekiwali już przeszło sto lat temu, że odrodzenie duchowe nastąpi za sprawą filozofów krajów słowiańskich.

Przypominę, że w starożytności filozofowie byli politykami. Zaś dla zwolenników demokracji była oczywista konieczność przestrzegania w tym ustroju zasady przyzwoitości. Mianowicie, jeżeli aprobowano demokrację, to pod warunkiem, że człowiek mądry nie będzie podlegać poglądom głupszego.

Ludzie nie są sobie równi z powodów często przez siebie zawinionych. Mogą podjąć trud rozwoju duchowego, ale wybierają wygodne życie. Mimo tej nierówności, każdemu z nas powinien być przyznany jednakowy zakres wolności oraz korzystanie z dóbr materialnych, by nie dopuszczać do biedy. Filantropia nie jest właściwą metodą łagodzenia trudności materialnych.

Przewiduję, że w bardziej odległym czasie nastąpi odrodzenie znaczenia filozofii, a więc i zarazem życia duchowego. Złoży się na to poczucie **pustki** istnienia wypełnionego dążeniem do miałych wartości, które nie nadają sensu naszemu istnieniu. Człowiek zacznie poszukiwać czegoś więcej niż możliwości przetrwania. Odrodzenie wypłyne także z **przerażenia** obserwowanymi, negatywnymi możliwościami człowieka. Wypłyne także z **lęku** przed powołanym do życia światem robotów. Mianowicie, dzieła cywilizacji

zapewne przerosną ludzkie oczekiwania w sensie negatywnym. A ponadto w megamiastach, czyli niewyobrażalnych obecnie kilkudziesięciomilionowych miastach, które zbudujemy w bezwolnym zachwycie dla cywilizacji, w izolacji od naturalnego środowiska, narodzi się **niepokój**. Zapewne wywoła on refleksje i namysł filozoficzny wśród większej grupy społeczeństwa, co będzie skutkowało rozkwitem filozofii. Zresztą, trudno przyjąć, by społeczeństwo nie zaczęło być wreszcie zaniepokojone narastającą specjalizacją. Kliniki kolana, czy kliniki prawej ręki sprawiają, że człowiek nie będzie prawidłowo leczony. A ponieważ dla każdego – wyłączając terrorystów – życie i zdrowie to wartości fundamentalne, więc nie jest wykluczone, że powrót do filozofii w skali należytej, rozpocznie się od odrodzenia i rozkwitu filozofii medycyny.

Pragnę podać tytuły książek w których rozwinęłam filozofię codzienności: „Twórcze niepokoje codzienności”, Łódź 1985 (wyd. II, Warszawa 1999). „Mój dziennik”, Łódź 1987. „Zagubieni w codzienności”, Warszawa 1992, (wyd. II. 1996, wyd. III. 2000). „Spotkania w salonie”, Warszawa 1994. (wyd. II 1998. „Stwarzanie siebie”, Warszawa 1994, (wyd. II. 1998, wyd. III. 1999). „W poszukiwaniu sensu życia”, Warszawa 1997, (wyd. II. 1998). „Drogowskazy”, Warszawa 1998. „Granice zwierzeń”, Warszawa 2001. „Za horyzontem”, Warszawa 2002. „Odcienie codzienności”, Białystok 2009. „Filozofia codzienności w rzeczywistości neoliberalnej”, Warszawa 2010. „W opozycji do przeciętności czyli własna droga ku wolności”, Białystok 2012. „Człowiek uwikłany”, Białystok 2014.

Potęga człowieka

Nie znamy tkwiących w nas możliwości. Niewątpliwie jest jedynie to, że są one znacznie większe niż nam się wydaje. Minimalizujemy nasze wybory, ponieważ z natury jesteśmy bierni i wygodni, czekając aż jakoś „samo się to ułoży”.

Brak wiary w siebie stanowi udrękę niejednego człowieka. Leży u podstaw wielu zaniechań. Łatwiej niejednemu z nas marnować własne istnienie, na przykład, poświęcając je nadmiernie komuś, niż kształtować siłę własnego charakteru i wyrabiać w sobie odwagę istnienia na miarę swoich możliwości. W kościele rzymskokatolickim czci się o. Kolbego wskazując niejednokrotnie tego świętego jako wzór do naśladowania. Pomijam tu zatajany, a głośny w okresie międzywojennym jego antysemityzm. Otóż są wartości etyczne, które głoszą bezwzględną wartość życia człowieka.

cdn.

Maria Sajdakowska

Andrzej Bartyński

Rozmowy na globie - człowieka o sobie



Piwo jasne

– Na początek wiersza zjadłem sznycel z ziemniakami i marchewką z groszkiem – powiedział filozof Pan Nietwór sięgając ręką po kufel jasnego piwa, stojący przed nim na okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– Na początek wiersza wysłuchałem tych licznych pytań zadawanych w telewizji, kto wygra mecz piłki nożnej na Euro 2016, który odbędzie się w Paryżu dnia 16 czerwca pomiędzy Polską a Niemcami – powiedział asystent Daniel Spaniel sięgając po kufel jasnego piwa, stojący przed nim na okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– Na początek wiersza poszłam zrobić siku z nadzieją, że mecz wygrają Polacy i wróciłam z powrotem, aby porozmawiać o tym, czy Wielka Brytania wystąpi z Unii Europejskiej, czy w niej pozostanie – powiedziała błękitnooka i złotowłosa Wiosna sięgając ręką po kufel jasnego piwa stojący przed nią na okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– Na początek wiersza bardzo jestem ciekawa jaki będzie wynik meczu Polska – Ukraina, który się odbędzie na Euro 2016 dnia 21 czerwca, we wtorek – powiedziała piwnooka jak heban czarnowłosa Luna, sięgając ręką po kufel jasnego piwa stojący przed nią na okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– Na początek wiersza drzwi otwarte, żeby mógł każdy wejść z uwzględnieniem możliwości potknięcia się na progu.

– Kto tak powiedział? – wtrąciła się okienna framuga w *salonie mych myśli* – tego tu nikt tak nie powiedział, bo nie musiał. Każdy człowiek dobrze wie, że jego życie, że nasze życie, jest jak mecz piłki nożnej. Trzeba walczyć, żeby pokonać przeciwnika. Trzeba walczyć, żeby zwyciężyć samego siebie. Trzeba walczyć, żeby nie przegrać. Najwyżej

zremisować dla równowagi ducha i dla nadziei na lepszą przyszłość.

– To co mówisz, framugo, to święta prawda – odezwał się głos zza pieca w *salonie mych myśli* – cała strefa kibica flagami biało-czerwonymi powiewa i śpiewa: „biało-czerwone to barwy niezwykłe”.

Miliony kibiców już wiedzą, że wygraliśmy z Irlandią Północną 1:0. Gola strzelił Arkadiusz Milik. 16 czerwca z Niemcami remis bezbramkowy. Z Ukrainą wygraliśmy 1:0, gola strzelił Kuba Błaszczykowski. Wyszliśmy z grupy i dzisiaj w sobotę, 25 czerwca będziemy grać ze Szwajcarią o wejście do ćwierć finału. A z grupy państw stanowiących Unię Europejską wyszła Wielka Brytania. Zdecydował o tym wynik referendum, które odbyło się 23 czerwca br.

– Każda z osób gra na swój sposób – odezwał się znad okrągłego stołu złocisty kandelabr w *salonie mych myśli*.

– Na początek wiersza słychać wołanie ze strefy kibica w *salonie mych myśli*: A gdzie jest nasz Autor? Czy poszedł grać w piłkę nożną, czy może udaje, że jest zawodnikiem, który kopie słowa jak piłkę do bramki, a bramka jest papierowa, bez klamki, żeby nie było można otworzyć – powiedział kibic, sięgając ręką po kufel jasnego piwa stojący przed nim na okrągłym stole w *salonie mych myśli*.

– Na początek wiersza w miejscowości Saint Etienne, dzisiaj wygraliśmy ze Szwajcarią. Znow cudownie gola strzelił dla nas Kuba Błaszczykowski, ale Szwajcarzy wyrównali i mecz się zakończył rzutami karnymi 5:4 dla nas, Polaków. Ostatnią piłką zamknął mecz Grzegorz Krychowiak i otworzył nam bramkę na mecz z Portugalią, który odbędzie się w czwartek, 30 czerwca w Marsylii o wejście do półfinału Mistrzostw Europy Euro 2016. A teraz bijmy wielkie królewskie brawa na cześć naszego wielkiego bramkarza Łukasza Fabiańskiego, który jak król króluje na tronie w obronie, żebyśmy nie pozostawali w ogonie – zawołał swym rozpedzonym głosem, głos zza pieca w *salonie mych myśli*. A wszystkim się wydawało, że to woła nasz znakomity sprawozdawca i dziennikarz sportowy Tomasz Zimoch. Woła do trenera polskich piłkarzy: „Adamie Nawalko, jesteś boski”.

– Na początek wiersza wszystko może się wydawać, że tak jest albo, że tak nie jest – powiedział Autor w *salonie* siedząc na tronie swych myśli.

Ja

*Człowiek wydusił z siebie słowa – ja
wydusił z siebie słowo – ty
wydusił słowa – my
a oni bez koni szli pieszo
noga za nogą i doszli do siebie
a my doszliśmy do nich
i tak powstała jedność
polegająca na różnicy zdań
bo człowiek wydusił z siebie słowo – ja*

– A ja? Co ja? – zapytał Autor schodząc z tronu. Ja idę do was. Do naszego okrągłego stołu, żeby się z wami napić piwa na początek wiersza.

Piwo jasne

*Głęboką nocą bez dna
idę przez cały dzień każdego dnia
i tak codziennie
ta noc bez przerwy trwa i trwa
wokół mnie i we mnie
zapytasz pewnie
jak w to uwierzyć, że tak jest
żeby uwierzyć przyjmij chrzest
a gdy utracisz światło w swych oczach wiary
przeczytasz brajlem po ciemku
że piwo jasne to jasna rzecz
najlepsze do słonego śledzia poezji
którą przetykać będziesz brajlem
pismem niewidomego
życzę tobie i sobie – smacznego
bo piwo jasne to jasna rzecz
jaśniejsze od ciemnego*

PS.

„Bo noc i księżyc, to noc księżycowa” – powiedział Konstanty Galczyński.

„Bo dzień i słońce, to złote słowa” – powiedział Andrzej Bartyński.

I te dwa zdania tak sobie, tak sobie idą mimo chodem przez dzień, przez noc. Jak chleb z miodem – poeci z narodem. Dwa zdania, a jedna rzecz. Wygrać ten mecz! Pytasz dlaczego? Bo piwo jasne to jasna rzecz. Jaśniejsze od ciemnego.



Rys. Barbara Medajska

POEZJA

Katarzyna Boruń-Jagodzińska, *Krócej*. Projekt i opracowanie graficzne grupa twórcza T.OP-tank: Dorota Brodowska, Zbigniew Brodowski, Mart Oxon. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2015, s. no.

Marek Czuku, *Igły i szpilki*. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Zdjęcie autora Dominik Figiel. Kolaż na okładce i w książce Rafał Babczyński. Seria *Kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezzrecze 2016, s. 58.

Janusz Drzewucki, *Rzeki Portugalii*. Na i stronie okładki „Moja dusza należy do Boga, a ciało do żywiołu morza”, akwarela na płytach ceramicznych, *azulejo*, w Sao Pedro de Moel, 2010, fot. Janusz Drzewucki. Zdjęcia autora na IV stronie okładki Joanna Manowska. Seria *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 122. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2016, s. 80.

Izabela Fietkiewicz-Paszek, Darek Foks, Teresa Rudowicz, Cezary Sikorski, Aleksandra Słowik, *Sonet. Spętanie*. Opracowanie graficzne Rafał Babczyński. Zaulek Wydawniczy *Pomyłka*, Szczecin 2016, s. 58.

Rafał Gawin, *Zachód słońca w Kurwidolach*. Opracowanie graficzne Justyna Purczyńska-Zieleniewska. Łódzki Dom Kultury, Łódź 2016, s. 64.

Roman Honet, *Rozmowa trwa dalej*. Projekt okładki i projekt typograficzny Artur Burszta. Seria *Wiersze podróżne*, tom 22. Biuro Literackie, Stronie Śląskie, Wrocław 2016, s. 44. Jarosław Klejnocki, *Ciemne zwierciadło*. Projekt graficzny Marek Sobczyk. Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 2016, s. 52.

Andrzej Katzenmark, *Ścieżkami Hellady*. Ilustrowana historia filozofii greckiej. Projekt okładki i rysunki: Elżbieta Maj, Wydawnictwo Sowello, Rzeszów 2016, s. 96.

ks. Janusz Kobierski, *Słowa na wygnaniu*. Ilustracja na I stronie okładki Barbara Kuropijska-Przybyszewska. Fotografia na iv stronie okładki Elżbieta Lempp. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 125. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2016, s. 80.

Małgorzata Lebda, *Matecznik*. Okładka i koncepcja graficzna Piotr Zdanowicz. Obraz wykorzystany na okładce Joanna Łańcucka. *Biblioteka Poezji Współczesnej*, tom 115. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2016, s. 50.

Joanna Lech, *Trans*. Projekt okładki i stron tytułowych Agnieszka Sitko. Grafika na okładce Julia Szwarz. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 126. Instytut Mikołowski, Mikołów 2016, s. 40.

Jacek Mączka, *Brudy prac*. Projekt okładki Mariusz Chodorek. *Biblioteka Tyskiej Zimy Poetyckiej*. Teatr Mały, Tychy 2016, s. 44.

Halszka Olsińska, *Małostki*. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Zdjęcie autorki z archiwum autorki. Obraz na okładce i grafiki w książce Krzysztof Samborski. *Seria piętastka*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezzrecze 2016, s. 80, w tym ilustracje.

Janusz Orlikowski, *Raj, który widziałem*. Projekt okładki Damian Siwiaszczyk. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2016, s. 56.

Mirosław Pisarkiewicz, *Finisaż*. Na okładce wykorzystano obraz *Ciuciubabka* Ewy Golińskiej-Pisarkiewicz. *Ridero* 2016, s. 116.

Refleksy 2008-2016. Ogólnopolski konkurs poetycki, wiersze nagrodzone i wyróżnione w edycjach konkursu z lat 2008-2016. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Grafika na okładce Krzysztof Samborski. Seria *koLekcja eleWatora*. Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezzrecze 2016, s. 112.

Dorota Ryst, *Sample story*. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Zdjęcie autorki Arkadiusz Łuszczak. Obraz na okładce Tomasz Bohajedyn. Seria *Forma 21*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezzrecze 2016, s. 44.

Karol Samsel, *Jonestown*. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Zdjęcie autora, zdjęcia na okładce i w książce Zenon Kowalczyk. Seria *piętastka*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin, Bezzrecze 2016, s. 70.

Renata Senktas, *Clarity*. Projekt okładki i opracowanie graficzne Kasper Rytko. *Biblioteka Arterii*, tom 29. Dom Literatury w Łodzi, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2016, s. 36.

Krzysztof Siwczyk, *Jasnopis*. Na okładce wykorzystano zdjęcie Wojciecha Wilczyka. Opracowanie graficzne, typografia Frakcja R. Wydawnictwo as, Kraków 2016, s. 76.

Ryszard Wasilewski, *Labirynt*. Opracowanie redakcyjne: Ryszard Wasilewski. Projekt okładki i rysunki: Sławomir Łuczyński. Wydawca: „Intrograf”, Łask 2016, s. 94.

PROZA

Rhys Bowen, *O mój ukochany!* Przełożyła Joanna Orłoś-Supeł. Projekt okładki Witold Siemaszkiewicz. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 490.

Ewa Czajkowska, *Po drugiej stronie*. Koncepcja okładki Ewa Czajkowska. Fotografia na okładce Aleksandra Krysicka. Wydawnictwo Witanet, Stare Miasto 2016, s. 330.

Lajos Grendel, *Dzwony Einsteina*. Przełożył Miłosz Waligórski. Zdjęcie na okładce Monika Ekiert Jezusek. Opracowanie graficzne Artur Burszta. Seria *Proza*, tom 37. Biuro Literackie, Wrocław 2016, s. 128.

Dawid Grosman, *Wchodzi koń do baru*. Przełożyła Regina Gromacka. Świat Książki, Warszawa 2016, s. 240.

Salcia Hałas, *Pieczeń dla Amfy*. Projekt okładki Barbara Niewiadomska. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2016, s. 446.

Dariusz Kaczmarek, *Kawka na huśtawce*. Projekt okładki: Dariusz Kaczmarek. Tłumaczenie na język rosyjski: Konrad Lotczyk. Korekta: Krystyna Mikołajczak. Wydawca: Dariusz Kaczmarek, Żelów 2016, s. 356.

Jarosław Kamiński, *Wiwarium*. Grafika i projekt okładki Jakub Kowalczyk. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2016, s. 480.

Andrzej Katzenmark, *Manuskrypt znaleziony w pięciu*. Redakcja: Jerzy Dobrzański. Projekt okładki: Lech-Tadeusz Karczewski. Wydawca: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2016, s. 250.

Marta Kijańska, *Jutro właśnie nadeszło*. Świat Książki, Warszawa 2016, s. 480.

Toni Morrison, *Skóra*. Przełożyła Jolanta Kozak. Świat Książki, Warszawa 2016, s. 192.

Remigiusz Mróz, *Rewizja*. Projekt okładki Mariusz Banachowicz. Projekt typograficzny Stanisław Tuchołka / panbook.pl. Czwartha Strona, Poznań 2016, s. 628.

Jerzy Pluta, *Tysiąc pierdołek o pichcieniu grochu z kapustą i kawiorem*. Projekt graficzny i projekt okładki Małgorzata Rybicka. Zdjęcie Izaak Kaszen. Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2016, s. 316.

Rafik Schami, *Ciemna strona miłości*. Przełożyła Elżbieta Zarych. Projekt okładki Witold Siemaszkiewicz. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 944.

„Urzyg” ...

(Dokończenie ze strony 15)

I także czek na 100 tysięcy złotych odebrał Jarosław Marek Rymkiewicz. Nagrodę wręczył sam Jarosław Kaczyński...

Pojawiły się głosy, że J. Kornhauser dostał nagrodę Szyborską za krytykę PAD, a J. Rymkiewicz dostał nagrodę L. Kaczyńskiego za niezależność. Pytam tylko czyją niezależność, wobec kogo?

A przecież należy pamiętać, że Jarosław Kaczyński dostał nagrodę Człowieka Roku Forum Ekonomicznego w Krynicy, Człowieka Roku Gazety Polskiej; Andrzej Duda tytuł Człowieka Wolności według „wSieni”, a Kaczyński, Duda, Lisiecki i (o zgrozo) Marek Falenta nominacją do Kisielea... Czy to jest „powrót do normalności”?... I czyż to nie są także nagrody z „układu”, tak jak być może jest z nagrodą dla Kornhausera?

Mało istotna dla narodu Nagroda Szyborska dla Kornhausera jest czymś naganym, ale już Order Orła Białego dla Wildsteina przyznany przez jednoosobową kapitułę w osobie prezydenta Dudy już słaby nie jest? Po prostu każdy sądzi według siebie. Widocznie panowie publicyści wiedzą, za co się u nich dostaje nagrody i myślą, że wszędzie jest tak samo.

Może Kornhauser dostał nagrodę za wywiad, a może nie, ale gratuluję tym dziennikarzom, politykom kultury osobistej i szacunku do drugiego człowieka, aż do *urzygu*... Poeci, którzy otwarcie popierają partię rządzącą są już OK, natomiast inni już nie. A więc wszystko od 1989 roku dzieje się tak samo... Tylko po co teraz to wielkie oburzenie, skoro wszyscy tak postępują?

Jak wspomniałem powyżej znam książki Kornhausera, znam także książki Rymkiewicza i jedno mogę powiedzieć, że poezja poety z Krakowa jest ciekawa, chociaż nie porywa. Trudno jest doszukać się w tych tekstach jakichkolwiek dygresji i odniesień politycznych. To jest zabawa słowem, pełna ciekawych przemyśleń, plastycznych obrazów. W poezji trudno jest znaleźć punkt odniesienia dla porównań z czymkolwiek innym... A dla porównania przedstawiam wiersz laureata Rymkiewicza. Bez komentarza:

*To co nas podzieliło – to się już nie skleci
Nie można oddać Polski w ręce jej złodziei
Którzy chcą ją nam ukraść i odsprzedać światu
Jarosławie! Pan jeszcze coś jest winien Bratu!
Dokąd idziecie? Z Polską co się będzie działo?
O to nas teraz pyta to spalone ciało
I jest tak że Pan musi coś zrobić w tej sprawie
Niech się Pan trzyma – Drogi Panie Jarosławie*

Wiersz dowodzi, że ideologia jednak źle wpływa na twórczość... No cóż, jak to mawiają – punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. A głos zabierają sami znawcy poezji wśród tych „niepokornych”. Wychowani na prostackich rymach Marcina Wolskiego, pojmą chyba jeszcze poddańcze pienia dla prezesa spłodzone przez Rymkiewicza. Wszystko inne do „urzygu słabe”, jak finezyjnie był łaskaw wyrazić się Ziemkiewicz. A Kornhauser nie krytykował prezydenta. Nie mówił, że jest zdrajcą, sprzedawczykiem czy obwiesiem. Jego ocena Andrzeja Dudy w całym kontekście jako człowieka była raczej pozytywna.

Czytałem wywiad z Jakubem Kornhauserem. O rodzinie siostry jest raptem kilka zdań, a wywiad to duży. Poeta nie atakuje nikogo i na nikogo nie napada. Zrobili z nim wywiad dlatego, że był nominowany do nagrody za konkretny tomik wierszy i nie dostał nagrody za wspomniany wywiad.

Natomiast Panom, oburzonym dziennikarzom i publicystom, dedykuję wiersz Andrzeja Waligórskiego:

NA BACZNOŚĆ

*Dla mnie wstrętą jest dwuznaczność,
Wiem dokładnie co popłaca –
Bardzo lubię stać na baczność
Kiedy szef się do mnie zwraca!*

*Wszystko razem trwa minutkę,
Nie rozkłada się na raty,
Ruki po szwam, pysk na kłódkę
W oczach wyraz aprobaty.*

*Żadnych wahań, żadnej tremy,
Zachwyt jak w obliczu nieba:
– Rozumiecie? – Rozumiemy!!!!
– Więcej takich nam potrzeba!*

*Tu uśmiecham się pogodnie
Bez kompleksu i frasunku
I popuszczam z lekka w spodnie,
Co oznacza szczyt szacunku!*

*Taka salwa – to nie despekt,
Szef się cieszy niesłychanie:
– Ha, czujecie, widzę, respekt???
– Trochę czuję, jaśnie-panie!*

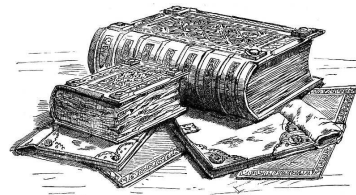
*Jaśnie-pan przygląda baki,
Wzrok smutnieje, twarz mu blaknie:
– Wiecie, coraz mniej jest takich,
Co to będzie gdy was braknie?*

*To podcina mnie jak batem,
Kłękam przed nim na arrasie:
– Szefie – wołam – jak świat światem,
Nas nie braknie w żadnym czasie!*

*Wówczas on krasnieje znowu,
Choć już był od lilii blędszy.*

– Dzięki wam za dobre słowo,
Idźcie! Idę... A on wietrzy...

Andrzej Dębowski



Iredyński redivivus

(Dokończenie ze strony 20)

w dramatach, słuchowiskach i prozie, o zdradzie i odkupieniu mężczyzny, wierności i wiarołomności kobiet, o przemocy i łagodności. Nikt też poza nim nie był twórcą tak wszechstronnym. I nikt za swoje „życiopisanie” nie zapłacił takiej ceny (s. 216).

Opracowanie biografii nieco już zapoznanego, a przecież bądź co bądź wybitnego, polskiego pisarza, jest z całą pewnością przedsięwzięciem zasługującym na szacunek i uwagę, niezależnie od stopnia jego powodzenia. Autorce zaś, mimo pewnych drobnych „technicznych” niedociągnięć, należą się brawa za podjęcie się takiego wyzwania i gratulacje za udaną realizację.

Miejmy nadzieję, że doczekamy się wkrótce zbiorowego wydania słuchowisk pisarza, a może i pełnej, analitycznej monografii całej wszechstronnej twórczości Iredyńskiego.

Szymon Gębuś

¹ Bartosz Kowalczyk, Ireneusz Iredyński. *Przekleństwo powrotu. Próba reinterpretacji*, Silva Rerum, Poznań 2014.

² Ireneusz Iredyński, *Dziela zebrane*, tomy I-III, Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2011.

³ Ireneusz Iredyński. *Listy z więzienia*, opracowanie Marek Sołtysik, Świat Książki, Warszawa 2015.

⁴ Ireneusz Iredyński, *Kreacja*. Wybór i wstęp Zbigniew Majchrowski, wydawnictwo Instytutu Badań Literackich PAN, Warszawa 2014. Kilkanaście lat wcześniej, w 2002 roku, ukazała się jeszcze następująca istotna praca: Zbigniew Jarzębowski, *Dramaturgia Ireneusza Iredyńskiego*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2002.

⁵ Opublikowanego w zbiorze *Karnawał i post*, Instytut Literacki, Paryż 1988, s. 125-137.

Małgorzata Raducha, *Gra w butelkę. Biografia Ireneusza Iredyńskiego*, Trzecia Strona, Warszawa 2015, s. 223.

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czemiawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.